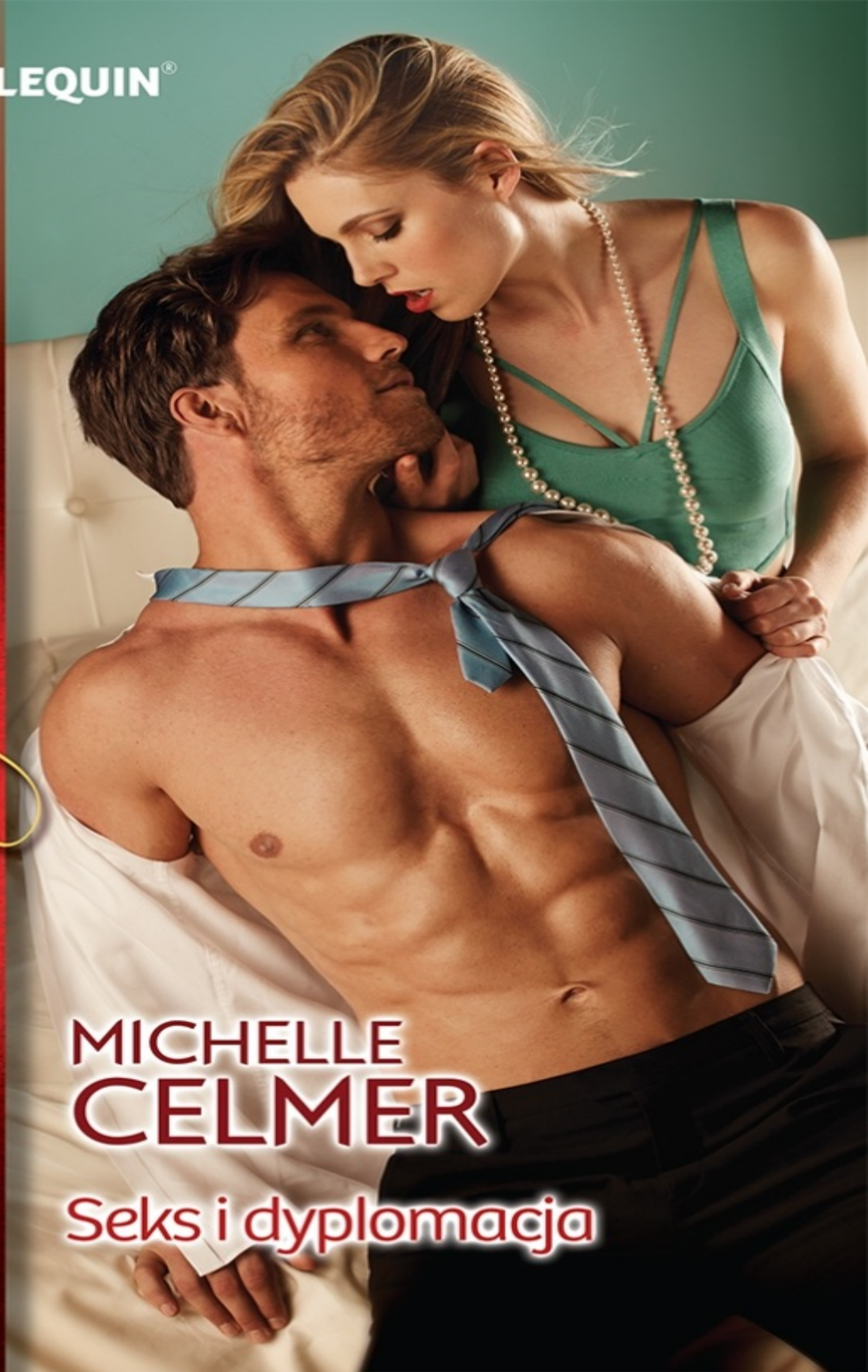


H HARLEQUIN[®]
TM

Gorgeous Romances[®]

MICHELLE
CELMER

Seks i dyplomacja



Michelle Celmer

Seks i dyplomacja

Tłumaczenie:

Anna Zeller

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rowena Tate straciła resztki cierpliwości, kiedy Margaret Wellington, asystentka ojca, przestrzegła ją:

- Kazał ci przekazać, że zaraz tu będzie.

- I...? - Rowena zawiesiła głos, domyślając się, że asystentka coś przed nią ukrywa.

- I tyle - ucięła Margaret.

- Słabo kłamiesz. Jeszcze gorzej niż ja.

Margaret westchnęła ze współczuciem.

- Miałam ci przypomnieć, żebyś nie przyniosła mu wstydu.

Rowena oddychała głęboko, z trudem tłumiąc złość. Dziś rano ojciec poinformował ją mejlem, że chce pokazać swojemu nowemu gościowi przedszkole. Zażądał - bynajmniej nie poprosił, bo pan senator Tate o nic nigdy nie prosił - by się przygotowała na jego wizytę. Jednocześnie zasugerował (nie po raz pierwszy, odkąd objęła zarządzanie jego ukochanym projektem), że wciąż jest nieprzewidywalna, nieodpowiedzialna i że do niczego się nie nadaje. Dla niego na zawsze pozostanie leniwą nieudacznicą.

Wyjrzała przez okno gabinetu. Na podwórku bawiły się dzieci. Po pięciu dniach nieprzerwanej ulewy wreszcie wyjrzało słońce, a termometry wskazywały dwadzieścia pięć stopni - w lutym to norma w południowej Kalifornii. Przedszkolaki z radością rozpierzchły się na placu zabaw, dając upust energii zgromadzonej podczas kilku dni spędzonych w zamknięciu.

Lubiła patrzeć na roześmiane dziecięce buzie, choć dopóki nie urodziła syna, dzieci niewiele ją obchodziły. Dziś nie umiała sobie wyobrazić lepszego zawodu. Wiedziała, że jeśli nie będzie ostrożna, kochany ojczulek i to jej odbierze.

- Nigdy mi nie zaufa, co?

- Przecież cię zrobił dyrektorem.

- Trzy miesiące temu, a wciąż pilnuje mnie jak policjant. Czasami mam wrażenie, że tylko czeka na jakiś błąd. Wtedy z czystym sumieniem mi powie: „A nie mówiłem!”.

- Nieprawda. On cię kocha, Row. Tylko nie wie, jak to okazać.

Margaret była asystentką senatora od piętnastu lat. W zasadzie należała do rodziny i jako jedna z niewielu rozumiała zawłość jego relacji z córką. Była z nimi jeszcze, zanim matka Roweny, Amelia, uciekła w siną dal razem z protegowanym senatora. To był koszmarny skandal. A ludzie mieli czelność się dziwić, że Rowenie odbija palma!

Odbijała palma, poprawiała się w myśli.

- Kto tym razem? - zwróciła się głośno do Margaret.

- Dyplomata brytyjski. Wiem o nim tylko tyle, że namawia senatora do wspierania międzynarodowej umowy o zwalczaniu przestępczości internetowej. I podobno ma tytuł szlachecki.

Ten drobny szczegół zapewne przypadł tatusiowi do gustu.

- Dzięki za ostrzeżenie.

- Powodzenia, skarbie.

Rozległ się dzwonek. Rowena niechętnie podniosła się z fotela i zdjęła poplamiony farbami fartuch, który włożyła na poranne zajęcia z plastyki. Wyszła na podwórko otworzyć bramę. Pilnowała, żeby ją zamykać po każdym wejściu lub wyjściu. Nigdy za wiele ostrożności, zważywszy na fakt, że senator był bogaty i wpływowy, a przedszkole mieściło się na terenie jego prywatnej posiadłości.

Pod bramą czekał ojciec. Miał na sobie strój do gry w golfa i uśmiechał się sztucznie, jak przystało na zawodowego polityka. Obok niego stał mężczyzna. Rowena zatrzymała na nim wzrok. O kurczę.

Gdy Margaret wspomniała o dyplomacie brytyjskim, Rowena wyobraziła sobie podstarzałego łysiejącego dżentelmena, którego

ego jest tak wielkie jak jego konto w banku szwajcarskim. Tymczasem stojący przed bramą mężczyzna był na oko w jej wieku i wcale nie sprawiał wrażenia zarozumiałego. Miał starannie przystrzyżone włosy w kolorze dojrzałej pszenicy, zgodnie z modą lekko zmierzwione nad czołem. I przeszywał ją wzrokiem. Przynajmniej takie miała wrażenie, patrząc w jego intensywnie błękitne tęczówki. I jeszcze te rzęsy, gęste i długie, za które każda kobieta oddałaby duszę. Może i miał tytuł szlachecki, ale zadbane kilkudniowy zarost i niewielka blizna przecinająca lewą brew nadawały mu lekko łobuzerski wygląd.

Hej, przystojniaku, odezwała się w niej dawna flirciara. Nic z tego. Teraz była kobietą po przejściach. Przekonała się na własnej skórze, że zabójczo atrakcyjni panowie przynoszą paniom najwięcej kłopotów. I niestety najwięcej przyjemności. Biorą to, na co mają ochotę i bez skrępowań odchodzą w poszukiwaniu nowej ofiary. Tak było w przypadku ojca jej syna. Rowena wstukała kod i brama się otworzyła.

- Kochanie, poznaj Colina Middlebury'ego - odezwał się senator. „Kochanie”. Tak się do niej zwracał w chwilach, gdy odgrywał rolę dobrego tatusia. - Colinie, to moja córka, Rowena.

Mężczyzna zatrzymał na niej oczy i posłał jej coś w rodzaju lekko ironicznego uśmiechu.

- Panno Tate. - Mówił lekko zachrypniętym głosem z akcentem charakterystycznym dla wyspiarzy. - Miło mi panią poznać.

Ależ skąd! Cała przyjemność po mojej stronie! Zerknęła na ojca, który patrzył na nią ostrzegawczym wzrokiem: „Ani mi się waź!”.

- Panie Middlebury, witamy w Los Angeles. - Kurtuazyjnie wyciągnęła dłoń.

- Mam na imię Colin. - Uniósł znacząco brwi i znów lekko podniósł kąciki ust. Gdy ich ręce się zetknęły, przebiegł ją dreszcz.

Już dawno żaden mężczyzna tak na nią nie działał. Ojciec

zazwyczaj zapraszał do domu starszawych polityków o wilgotnych dłoniach i rozbieganych oczkach, potwornie nudnych. Na kilometr biło od nich przekonanie, że nie oprze im się nic, co się rusza i ma cycki.

- Colin zatrzyma się na dwa lub trzy tygodnie w rezydencji. Pracujemy nad traktatem, który chcę przepchnąć w kongresie - oznajmił ojciec.

Odgrywanie roli miłej gospodyni, gdy w rzeczywistości zgrzytała ze złości zębami, było nie do zniesienia. Nie cierpiała tego obowiązku. No ale kiedy gościem jest ktoś taki jak Colin Middlebury? Nawet gdyby się okazał ostatnim draniem, to co z tego? Przynajmniej jest na czym oko zawiesić.

Ojciec rozejrzał się po placu zabaw.

- Gdzie mój wnuk?

- Ma zajęcia z logopedą - odparła. Sale przedszkolne zostały przysposobione dla dzieci z zaburzeniami i zaopatrzone w sprzęt do wszelkiego rodzaju terapii. Dzięki temu jej syn, Dylan, był pod stałą opieką specjalistów, a ona w spokoju wypełniała obowiązki dyrektora. Założenie przedszkola integracyjnego było genialnym pomysłem. Naturalnie, ojca.

- Kiedy skończy? Chciałbym, żeby Colin go poznał.

Spojrzała na zegarek.

- Jeszcze pół godziny.

- Wobec tego innym razem - wtrącił Colin. - Roweno, wybierasz się z nami na kolację do Estaveza?

No jasne! Z przyjemnością. Jednak spojrzenie ojca nie pozostawiło żadnych wątpliwości.

- Następnym razem - odparła szybko.

- Colin, chodźmy już - ponaglał senator. - Pokażę ci przedszkole.

- Świetnie. - Colin sprawiał wrażenie zainteresowanego propozycją. Może przez ten brytyjski akcent?

- Rozpocząłem realizację tego projektu niecałe dwa lata temu - obwieścił z dumą senator.

Oczywiście nawet się nie zająknął na temat roli, jaką w tym przedsięwzięciu odegrała jego córka.

- Hej, Row! - rozległ się głos, kiedy mężczyźni zniknęli w budynku.

Na placu zabaw Patricia Adams, asystentka Roweny, a także najlepsza przyjaciółka, pilnowała dzieci. Rowena spojrzała w jej stronę i wtedy Patricia powachlowała się ręką, jakby miała zemdleć z wrażenia, a z jej rozdziawionych ust popłynął niemy okrzyk zachwytu.

- Ale facet!

Nie minęło kilka minut, gdy ojciec i Colin wyszli z przedszkola. Senator był wyraźnie wzburzony.

- Ktoś zapomniał zetrzeć farbę ze stołów. Spójrz, Colin ubrudził sobie spodnie. - Ojciec panował nad głosem, ale w środku kipiał ze złości.

Colin w przeciwieństwie do niego chyba nie przejmował dużą różowawą plamą na lewej nogawce spodni.

- Nic się nie stało - zapewnił.

- To zmywalna farba - wyjaśniła Rowena. - Trochę mydła z wodą i nie będzie śladu. Betty, nasza gosposia, wyczyści spodnie. Ale jeśli się okaże, że się zniszczą, zrekompensuję stratę.

- To nie będzie konieczne - odparł Colin.

- Colinie, wybacz. - Ojciec znów przykleił do twarzy uśmiech wytrawnego polityka. - Chcę z córką zamienić słówko na osobności.

Tylko nie to! Znowu?! Niechętnie ruszyła za ojcem. W korytarzu stanął z nią twarzą w twarz i syknął:

- Roweno, prosiłem cię tylko o jedno. Miałaś przygotować przedszkole na wizytę. Czy to doprawdy taki wielki problem zetrzeć farbę ze stołu? Colin jest hrabią, na miłość boską! I do tego

bohaterem wojennym. Żeby go tak haniebnie potraktować? To skandal!

Jeśli rzeczywiście był bohaterem wojennym, na pewno widział gorsze rzeczy niż plama na spodniach. Oczywiście, tę uwagę zatrzymała dla siebie.

- Przepraszam za to niedopatrzenie. Musieliśmy przeoczyć tę farbę. Następnym razem będę bardziej uważała.

- Jeśli w ogóle będzie następny raz. Jak mam oczekiwać, że poradysz sobie z opieką nad dziećmi, skoro nie umiesz nawet wyczyścić stołu?

- Przepraszam - powtórzyła, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Po tym wszystkim, co zrobiłem dla ciebie i Dylana... - Potrząsnął ostentacyjnie głową, jakby zabrakło mu słów, by opisać jej arogancję i egoizm. Potem, dla lepszego efektu, wybiegł jak burza z budynku.

Oparła się o ścianę, zła i sfrustrowana. I zraniona do żywego. Ojciec jej nie złamie. Może ją znieważać, ile chce, ale ona zawsze w końcu się podniesie.

- Hej, Row! - W drzwiach stanęła Patricia. - Wszystko w porządku?

- Tak. Nic mi nie jest. - Uśmiechała się smutno.

- Słyszałam o tej plamie. To moja wina. Miałam sprawdzić, czy April dobrze wytarła stoły, ale zapomniałam. Wiem, że senator ma fioła na punkcie porządku, zwłaszcza kiedy zaprasza nowych gości. Przepraszam.

- Tricia, jeśli nie plamę z farby, na pewno znalazłby coś innego. Już się przyzwyczaiłam.

- Nie powinien cię tak traktować.

- Dałam mu nieźle popalić.

- Ale zmieniłaś się, Row. Wyszłaś na prostą.

- Nie udałoby mi się bez jego pomocy. Wiele zrobił dla mnie i dla Dylana.

- On chce, żebyś tak właśnie myślała. Poradziłabyś sobie i bez niego.

Chciała w to wierzyć, ale przecież już raz zamieniła swoje życie w piekło.

- Pamiętaj, że moja propozycja jest wciąż aktualna. W razie czego możesz pomieszkać u mnie przez jakiś czas.

Aha. I wtedy wielki senator na zawsze wymazałby ją z pamięci. Skąd wzięłaby pieniądze na leczenie Dylana? Ojciec miał na nią haka. Nie zawahałby się odebrać jej syna. Słyszała tę groźbę milion razy i się jej bała.

- Nie mogę, Tricia. Ale jestem ci wdzięczna.

Sama, przez głupotę i lekkomyślność, zamieniła swoje życie w chaos. Teraz sama musi poukładać je na nowo.

Colin nigdy nie przykładał wagi do plotek. Plotki są jak choroba zakaźna: rozprzestrzeniają się szybko i skutecznie. Nie omijają nikogo, a zwłaszcza rodziny królewskiej, włączając nawet tych najdalszych krewnych. Dlatego wolał wyrobić sobie własne zdanie na temat córki senatora, mimo że oczywiście dotarły do niego różne pogłoski. Może coś mu umknęło, ale Rowena Tate wywarła na nim dobre wrażenie. Zresztą, nawet gdyby miała dwie głowy i kopyta zamiast nóg, i tak zachowywałby się wobec niej szarmancko.

To była pierwsza misja dyplomatyczna Colina. W kraju ostrzegano go, że w kontaktach z amerykańskimi politykami, zwłaszcza tak potężnymi i wpływowymi jak senator Tate, musi mieć oczy dookoła głowy. Senator był typem człowieka, który lubił postawić na swoim. Kiedy lobbował na rzecz nowej ustawy, koledzy po fachu natychmiast robili to samo. Rodzina królewska liczyła, że dzięki staraniom Colina traktat o wspólnym zwalczaniu przestępczości

internetowej niebawem wejdzie w życie.

Po obu stronach Atlantyku działały profesjonalnie zorganizowane hackerskie grupy przestępcze. Traktat miał zagwarantować narzędzia prawne, które umożliwią postawienie winnych przed sądem.

To właśnie dzięki hackerom media namierzyły nieślubną córkę prezydenta Morrowa. Jakby tego było za mało, wiadomość gruchnęła podczas balu inauguracyjnego jego prezydenturę w obecności rodziny, przyjaciół i celebrytów. Ariella Winthrop, córka prezydenta z nieprawego łoża, stała zaledwie kilka kroków od biologicznego ojca. Dziennikarze zacierali ręce z uciechy, a administracja USA niezwłocznie przystąpiła do rozmów nad traktatem. Interesy Zjednoczonego Królestwa miał reprezentować Colin Middlebury.

Był już w połowie drogi do rezydencji, kiedy dogonił go zdyszany senator.

- Jeszcze raz najmocniej przepraszam - wysapał.
- Już mówiłem, że nic się nie stało.
- Rowena miała w przeszłości problemy. To żaden sekret. Bogu dzięki, wyszła z tego.

Mimo to senator trzyma córkę na krótkiej smyczy. Żeby tak się zdenerwować z powodu plamy na spodniach? Przesada.

- Chyba każdy ma na swoim koncie jakieś wpadki - bagatelizował Colin.

Senator milczał przez chwilę.

- Czy mogę być z tobą szczery, Colinie?
- Oczywiście.
- Podobno cieszysz się opinią kobieciarza.
- Doprawdy?
- Nie zamierzam tego wykorzystywać przeciw tobie - zapewnił senator. - Twoje życie, twoja sprawa.

Colin nie mógł zaprzeczyć. Miał wiele kochanek, ale na pewno nie był draniem. Nie umawiał się z kobietami, dopóki nie stało się dla nich jasne, że nie interesuje go stały związek. Nigdy niczego im nie obiecywał.

- Senatorze, moja rzekoma sława kobieciarza wydaje się nieco przesadzona.

- Jesteś w kwiecie wieku. Nic dziwnego, że korzystasz z życia.

Colin domyślał się, że jest jakieś „ale”.

- W normalnych okolicznościach w ogóle nie poruszałbym tego tematu, ale zaprosiłem cię do siebie i chcę powiedzieć, że w tym domu obowiązują żelazne zasady. Oczekuję, że się do nich zastosujesz.

Żelazne zasady?

- Moja córka bywa bardzo... impulsywna i padała ofiarą oszustów, którym się wydawało, że w ten sposób do mnie dotrą. Krótko mówiąc, wykorzystywali ją bez skrupułów.

- Senatorze, zapewniam, że...

- O nic cię nie oskarżam. - Wyciągnął ręce w obronnym geście.

Sęk w tym, że właśnie tak to zabrzmiało.

- Ostrzegam tylko, że dopóki mieszkasz z moją córką pod jednym dachem, nie wolno ci jej tknąć.

No cóż, nie dało się tego ująć jaśniej. Troskliwy tatuś wyłożył kawę na ławę.

- Czy mogę liczyć na ciebie, synu?

- Oczywiście. - Colin nie wiedział, czy powinien się czuć znieważony, ubawiony, czy raczej współczuć senatorowi. - Przyjechałem tu pracować nad traktatem.

- W takim razie - oświadczył senator z uśmiechem - nie traćmy czasu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po kilku godzinach zaskakująco efektywnej pracy z senatorem i nudnej kolacji służbowej w towarzystwie jego współpracowników Colin odpoczywał w zacisznym zakątku rezydencji przy basenie. Potrzebował chwili spokoju. Położył się wygodnie na leżaku i patrzył w rozgwieżdżone niebo, sącząc szkocką z senatorskiej piwniczki.

Rozległ się dzwonek w telefonie. Na wyświetlaczu pojawił się numer Matildy, jego siostry. W Londynie była piąta trzydzieści rano.

- Wczesnie wstałaś - powiedział na powitanie.

- Matka miała ciężką noc, więc czuwałam do rana - wyjaśniła. - Dzwonię zapytać, co u ciebie?

- Jak by to powiedzieć? Na pewno interesująco.

Colin pokrótce zrelacjonował jej groźby senatora.

- To święta prawda - zapewnił, kiedy zapytała, czy z niej nie żartuje.

- Serio? Nie wolno ci jej tknąć?

- Tak się wyraził.

- Co za tupet! Co za maniery!

- Najwyraźniej zapracowałam na sławę kobieciarza.

W innych okolicznościach nie oparłby się ognistej burzy włosów Roweny ani tym bardziej jej szmaragdowemu spojrzeniu.

- Lepiej wracaj do domu - nalegała Matty.

Oczywiście, miała na myśli Londyn. Tam spędził dzieciństwo i większość niedawnej rekonwalescencji, ale nie traktował tego miejsca jak dom. Domem był dla niego internat, a potem kraj, w którym akurat stacjonował.

- Tyle przeszedłeś! Nawet jeszcze nie wyzdrowiałeś! - Matilda była dwadzieścia lat od niego starsza. Zawsze mu matkowała, zwłaszcza po katastrofie helikoptera. Miał wiele szczęścia, że

przeżył, ale rany się zagoiły i teraz musiał ruszyć do przodu. Był dumny że służy ojczyźnie jako dyplomata, choć w głębi duszy pozostanie żołnierzem. – Wiem, że robisz to dla dobra rodziny – ciągnęła – ale żeby od razu polityka? Colin, nie zniżaj się do tego poziomu.

Matilda żyła w oderwaniu od rzeczywistości. Nie rozumiała powagi jego misji.

– Matty, sama wiesz, ile razy naruszono granice naszej prywatności. Opinia rodziny legła w gruzach. Musimy to wreszcie zmienić! Potrzebujemy tego traktatu.

– Martwię się o ciebie. Ubierasz się ciepło?

– Matty, jestem w Kalifornii. Tu zawsze jest ciepło.

– Obiecuj, że zadbasz o siebie.

– Obiecuję. Kocham cię, Matty. Ucałuj mamę.

– Ja też cię kocham.

Rozłączył się, wsunął telefon do kieszeni spodni i zamknął oczy. Jego myśli krążyły wokół spraw, które omówił tego popołudnia z senatorem. Senator był bardzo skrupulatny. Nalegał, by omawiać umowę rozdział po rozdziale, linijka po linijce. W Wielkiej Brytanii traktat zostanie poddany takiej samej analizie. To będzie długi i żmudny proces.

Musiał się zdrzemnąć, bo nagle obudziło go głośnie pluśnięcie. Podskoczył, zamrugał i rozejrzał się dokoła. Mieszkał już w tylu różnych miejscach, że czasami, gdy się budził z głębokiego snu, musiał się chwilę zastanowić, gdzie się akurat znajduje.

Rezydencja senatora. Basen. Bingo.

Czy rzeczywiście usłyszał pluśnięcie, czy mu się przyśniło? Na drugim końcu basenu spostrzegł wir i po chwili czyjaś postać wyłoniła się z podświetlonej wody. Nie można było nie zauważyć burzy ognistorudych włosów.

Rowena zanurkowała i kiedy dopłynęła do drugiego końca basenu,

niecałe trzy metry od jego leżaka, znów się wynurzyła. Zrobiła nawrót, mocno się odepchnęła od ściany i energicznie machając rękami, popłynęła do przeciwległego brzegu. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany, urzeczony jej zgrabnym ciałem i zwinnymi ruchami. Dopłynęła do brzegu i znów zrobiła nawrót. Pływała tak przez dobrą chwilę, aż wreszcie się zatrzymała przy przeciwległym brzegu basenu. Wyraźnie zmęczona, odpoczywała niecałą minutę i znów popłynęła.

Colin przypomniał sobie słowa senatora o jego żelaznych zasadach. Sytuacja wygląda źle: on jak gdyby nigdy nic siedzi sobie na brzegu basenu i bezczelnie patrzy, jak córka gospodarza pływa tam i z powrotem. Postronny obserwator mógłby niefortunnie zinterpretować tę scenę. Im dłużej nad nią myślał, tym bardziej wydawała mu się niestosowna. Najchętniej wymknąłby się niepostrzeżenie, ale jeśli ktoś go obserwuje? Pomyśli sobie, że Colin zachowuje się podejrzanie, że próbuje coś ukryć. Żałował, że nie odszedł od razu. Teraz miał problem, który na dodatek sam sobie stworzył. Doszedł do wniosku, że najlepsze, co może zrobić, to obwieścić swoją obecność, a potem szybko się zmyć.

Rowena kipiała ze złości. Ojciec zbeształ ją jak smarkulę w obecności podwładnych, i to za co? Za przekroczenie miesięcznego budżetu o trzydzieści dolarów, które wydała na przybory plastyczne dla dzieci. Teraz musiała wyładować frustrację. Pływała tak długo, aż jej ręce i nogi stały się jak z waty.

Trzeźwa od trzech lat, dwóch miesięcy i sześciu dni, a senator wciąż czeka na jej potknięcie. Nigdy nie wypierała się błędów, ale one należały już do przeszłości. Zapłaciła za nie z nawiązką. Robiła wszystko według wskazówek ojca, ale to mu najwyraźniej nie wystarcza. I chyba nigdy nie wystarczy. Na zawsze pozostanie wyrodną córką, na próżno zabiegającą o jego miłość i szacunek.

Z ledwością wygramoliła się z basenu.

- Niezły wycisk. - Za jej plecami złowrogo rozbrzmiał obcy głos.

Wzdrygnęła się, odwróciła i zobaczyła cień postaci. Jej serce przestało bić na sekundę, po czym w szalonym tempie wpompowało w jej żyły adrenalinę. Gwałciciel albo seryjny zabójca, pomyślała od razu. Wyobraziła sobie, jak nad ranem ogrodnik znajduje jej ciało dryfujące na wodzie albo inny nieszczęśnik natknie się na jej zmasakrowane zwłoki podczas porannej przebieżki w miejskim parku.

Instynkt samozachowawczy kazał jej uciekać. Zrobiła krok do tyłu, stawiając stopę na krawędzi basenu. Poczowała, że upada na plecy. Zdążyła tylko pomyśleć: to koniec! Naraz czyjaś ręka złapała ją za nadgarstek i pociągnęła mocno do przodu. Szarpnęła ramieniem w nadziei, że napastnik ją wypuści, ale zamiast tego stracił równowagę i runął wraz z nią do wody.

Obcy głos wciąż dźwięczał w jej głowie... i nagle wydał się znajomy. Rozpoznała charakterystyczny akcent, gładki jak karmel tembr, który teraz wcale nie wydał jej się złowrogi. Gdy niedoszły gwałciciel wynurzył się na powierzchnię, krztusząc się i klnąc na czym świat stoi, w głowie Roweny kołatała się jedna myśl: ojciec ją zamorduje. O ile Colin nie zrobi tego pierwszy.

- Co, do cholery, wyprawiasz? - zawołał.

- Przepraszam - wydukała.

Colin zwinnie wyskoczył z basenu. Rowena odetchnęła z ulgą: nie zamierza jej zabić. Próbowwała się wyczołgać na brzeg, ale mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa i znów wpadła do wody.

- Pomogę ci. - Wyciągnął do niej rękę. Widząc jej wahanie, zirytował się. - No już, do cholery.

Chwyciła jego rękę, a on sprawnym ruchem wyciągnął ją na brzeg. Był silny. Dziwiła się, jakim cudem wepchnęła takiego atletę do wody. Pewnie dzięki adrenalinie. Teraz jednak opadała z sił

i drżała z zimna. Colin podniósł ręcznik z leżaka i owinął go wokół jej ramion. Zawstydziała się swojej nagości, choć miała na sobie jednoczęściowy kostium kąpielowy tak mocno zabudowany, że chyba więcej zasłaniał, niż odkrywał.

Colin Middlebury nie miał zamiaru zażywać kąpieli w basenie. Na pewno nie dziś. Wyciągnęła taki wniosek, widząc jego ubranie: spodnie i sweter były przemoczone do nitki. No chyba że zamierzał pływać na golasa. Swoją drogą nie miałyby nic przeciwko temu...

Z kieszeni mokrych spodni wyjął nowoczesny telefon komórkowy. Potrząsnął nim kilka razy, a potem próbował włączyć. Na twarzy Roweny pojawił się grymas. Wystarczy, że ojciec się dowie i już po niej.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że tu jesteś. Zazwyczaj nikt oprócz mnie nie korzysta z basenu.

- Nie chciałem cię przestraszyć. - Wykręcał ociekające wodą rękawy. - Chyba przysnąłem. Obudziłem się, kiedy wskoczyłaś do wody.

- A twój telefon... Do odratowania?

- Wątpię. - Wsunął go z powrotem do kieszeni.

- Przepraszam, Colin. - Najpierw ta plama na spodniach, teraz to. Ojciec da jej popalić.

Colin wskazał na swój sweter.

- Czy mógłbym pożyczyć ręcznik?

- No jasne! - Gdzie się podziały jej maniery? Tylko w ten sposób może się zrehabilitować. Podczas desperackiej próby ucieczki przed domniemanym mordercą zniszczyła mu telefon, elegancki sweter i... skórzane buty. - Zapasowe ręczniki są w letnim domku.

Począpał za nią. Słyszała, jak na terakocie skrzypią podeszwy jego mokrych butów. Dziękowała Bogu, że nie włożył ekskluzywnego zegarka. Nie wodoodpornego.

Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Nazwała ten budynek

domkiem, choć rozmiarem przypominał raczej pałacyk. Colin zdjął buty i wszedł do środka. Przez chwilę szamotał się ze swetrem, odsłaniając brzuch. Miał doskonałe ciało: umięśnione ramiona, wąskie biodra i długie muskularne nogi, których zarys odznaczał się pod mokrymi nogawkami. Musiał spędzić lata w siłowni.

Wreszcie zdjął sweter i rzucił go w kąt, odwracając się do niej plecami. Rowena ze świstem wciągnęła powietrze. Różowe nierówno zabliźnione rany po oparzeniu zaczynały się nad łopatkami, ciągnęły przez całą długość pleców i znikwały pod paskiem spodni. Wyglądały świeżo.

Próbowała ukryć zaskoczenie, gdy stanął do niej twarzą.

- Mogę ten ręcznik? - zapytał.

- Przepraszam. - Przyniosła mu z łazienki ręcznik.

- Wybaczam ci - zirytował się. - Czy mogłabyś wreszcie przestać przeproszać?

- Przep...

Sporunował ją wzrokiem.

- Robię to z przyzwyczajenia. - Wzruszyła ramionami.

Starannie się wycierał, a ona czuła, że zaraz posypią się iskry. Że też w chwili katastrofy ona myśli o jednym, zamiast o ratowaniu własnej skóry! Ten Brytyjczyk sprawiał wrażenie całkiem rozsądnego. Postanowiła zaryzykować.

- Czy jest cień szansy, żeby mój ojciec się o tym nie dowiedział? - zapytała wprost.

Posłał jej ten cudownie ironiczny uśmiech.

- To będzie nasz mały sekret.

Drgnęła na myśl o tym, że ma z nim sekret. Duży czy mały, wszystko jedno... Dosyć! Czy to nie śmieszne? Ma dwadzieścia sześć lat, a zachowuje się jak nastolatka.

- Senator wymaga perfekcji? - zapytał.

Mało powiedziane.

- W istocie ojciec ma wysokie wymagania.
- Przyznaję, że byłem pod wrażeniem. Chodzi mi o przedszkole.
- Dzięki. - I wtedy coś ją podkusiło. - To był mój pomysł.
- Serio? - Nie usłyszała w jego głosie niedowierzania, raczej ciekawość.

Powinna była trzymać buzię na kłódkę, ale słowa same popłynęły z jej ust.

- Tata zawsze bazował na elektoracie konserwatywnym i prorodzinnym. - Co za ironia, biorąc pod uwagę fakt, że sam był beznadziejnym ojcem. - Jedną z jego inicjatyw było przedszkole integracyjne dla pracujących rodziców. Takie w przystępnej cenie. Wszyscy na tym skorzystali. Jego współpracownicy mieli gdzie zostawić dzieci, a on poprawił swój wizerunek.

- Czyli to wasz wspólny projekt?

Uch! Potrząsnęła głową i roześmiała się nerwowo.

- Nie, nie. Wyłącznie jego. Choć bardzo mu kibicuję. Trochę mu pomagałam przy zakładaniu przedszkola. Odwiedziłam podobne placówki w mieście, poszukałam nowych rozwiązań w internecie.

- Czyli to też twój projekt? - Był zdezorientowany.

Serio, powinna już przestać paplać.

- Nie. Na czekach widnieje jego nazwisko.

- Nietrudno złożyć podpis na czeku. Odwaliłaś czarną robotę. To jest prawdziwa praca.

Senator wpadłby w szal, gdyby usłyszał, że jego córka śmie przypisywać sobie takie zasługi.

- Naprawdę niewiele w tej sprawie zrobiłam.

- Jak na taką, co niewiele zrobiła, jesteś z siebie bardzo dumna. I słusznie.

Tylko nie to! Z ojcem nie warto zadzierać. Po co w ogóle wyskakiwała z tym tematem?

- Zdenerwowałaś się - zauważył Colin.

- Czasem plotę, co mi ślina na język przyniesie. Nie powinnam o tym mówić.

- Obiecuję, że ta rozmowa zostanie między nami. Czy to cię uspokoi?

- Byłabym wdzięczna. - Odetchnęła z ulgą. - Moje stosunki z ojcem są... skomplikowane. Powinna siedzieć cicho. Tak jest lepiej dla wszystkich.

- Chyba cię rozumiem.

Poważnie? Zerknęła na zegarek.

- Zrobiło się późno, muszę wracać. Betty pomyśli, że utonęłam.

- Betty, gospodyni?

- Aha. - Pokiwała głową. - Pilnuje Dylana, kiedy idę popływać. Zazwyczaj zajmuje mi to czterdzieści minut. - Zamilkła na chwilę. - Mówiłeś, że się zbudziłeś, kiedy wskoczyłam do wody.

- Tak. - A mimo to nie zawołał jej, dopóki nie skończyła pływać. Co w takim razie robił przez ten czas? - Tak, tak - przyznał, jakby czytał w jej myślach. - Patrzyłem, jak pływasz. Wiem, że naruszyłem twoją prywatność, ale zahipnotyzowałaś mnie. To moje jedyne wytłumaczenie, choć zdaję sobie sprawę, że nieco niedorzeczne. - Chwytał jej dłoń. Miał duże, silne i odrobinę szorstkie ręce. - Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

On jest niezły. Popełniła błąd i spojrzała mu w oczy. Poczwała, jak wciąga ją ich błękitna toń. Niejedna kobieta z rozkoszą by w niej utonęła.

- Dlaczego zakazany owoc zawsze tak kusi? - zapytał, nie odrywając od niej oczu.

Weź mnie tu i teraz, miała na końcu języka. Na szczęście szybko oprzytomniała. Colin Middlebury jest politykiem, więc umie kłamać jak z nut. Z drugiej strony niewinny flirt nikomu jeszcze nie zaszkodził, prawda?

Spojrzał na jej usta. Bezwiednie zrobiła to samo. Myślała tylko

o tym, jak bardzo chciałyby poznać jego pocałunki. Gdy musnął wargami jej dłoń, zakołysała się pod nią ziemia.

- Miło było z tobą porozmawiać - powiedział.

Owszem, bardzo miło.

- Może powinniśmy to powtórzyć.

- Może. - Powoli wypuścił jej rękę.

Nie odchodź jeszcze, pomyślała, ale nie miała odwagi powiedzieć tego na głos. On jednak wyraźnie pozbawiony był umiejętności czytania w cudzych myślach, bo odwrócił się, podniósł z podłogi sweter i wyszedł z domku.

Patrzyła, jak znika w ciemności. Pragnęła znów się z nim spotkać i porozmawiać, ale doskonale wiedziała, że lepiej by było, gdyby nigdy do tego nie doszło.

Kiedy Rowena wróciła do siebie, Betty leżała na sofie i oglądała stare odcinki „Dynastii”.

- Aleś się napływała - westchnęła i wyłączyła telewizor. Jej siwy kok zrobił się płaski od poduszki.

- Przepraszam, że tak długo to trwało.

- I tak nie mam nic do roboty. - Gospoia nie dopytywała się, co ją zatrzymało, zwłaszcza że Rowena wcale nie spieszyła się z wyjaśnieniem.

Powoli wstała z sofy i rozprostowała obolałe kości. Opiekowała się Roweną od małego. Nauczyła ją piec ciasteczka, opowiadała jej o ptakach i pszczołach, kupiła pierwszy stanik, bo matka zawsze była zajęta i nie wolno jej było przeszkadzać. Tylko Betty wierzyła, że Rowena wygra walkę z nałogiem.

- Dylan się budził?

- Śpi jak suseł.

- Dziękuję, że się nim zajęłaś. - Rowena uścisnęła gospoię.

- Nie ma problemu, skarbie. Jutro wieczorem o tej samej porze?

- Świetnie.

Rowena odprowadziła Betty do drzwi. Ni stąd, ni zowąd zapytała:

- Co myślisz o nowym gościu ojca?

- Panu Middleburym? Cudowny! Taki uprzejmy i kulturalny. Choć trochę wygląda mi na flirciarza. No i... przystojniak. - Zerknęła na Rowenę. - Czy dziś też tak się mówi o atrakcyjnych mężczyznach?

- Może być przystojniak - ucięła.

- Przystojniak bez dwóch zdań. Gdybym była trzydzieści lat młodsza... - Rozmarzyła się. - A dlaczego pytasz?

- Tak tylko. - Rowena wzruszyła ramionami.

- Podoba ci się?

Potrząsnęła głową.

- Nie... Wiesz, że nie lubię polityków.

- Przecież on nie jest politykiem. Robi to dla rodziny królewskiej. Uważają, że skoro jest bohaterem wojennym, będzie poważniej traktowany w Waszyngtonie.

Nie jest politykiem? A to ciekawe!

- Skąd tyle o nim wiesz? - zdziwiła się Rowena.

- Rozmawiałam z nim. Ty też to zrób.

Wolała nie wspominać, że już to zrobiła.

- Pomyślę o tym.

Po wyjściu Betty Rowena zerknęła na śpiącego Dylana, potem wzięła prysznic, włożyła piżamę i wskoczyła do łóżka. Włączyła laptop i sprawdziła pocztę. Głównie spamy. Jak zwykle. Już miała zamknąć komputer, ale po chwili namysłu otworzyła przeglądarkę i wrzuciła w nią nazwisko Colina. Pojawiła się cała strona z linkami do artykułów, ale wcale nie na temat podbojów miłosnych. Wszystkie mówiły o wyczynach wojennych. Nie bez powodu nazywano go bohaterem.

Podczas ostatniej misji na Bliskim Wschodzie rozbił się helikopter, którym Colin leciał jako pasażer. Siła uderzenia wyrzuciła go ze

śmigłowca. Ranny w nogę, doczołgał się z powrotem do kabiny i wyciągnął z niej nieprzytomnego pilota. Zanim zdążyli dotrzeć na bezpieczną odległość, helikopter stanął w płomieniach. Obaj odnieśli rozległe poparzenia. Colin spędził cztery tygodnie w szpitalu, a potem kolejne osiem na rekonwalescencji.

Miał sporo szczęścia. Poza niewielką blizną przecinającą brew nie miał żadnych widocznych ran. Dopóki nie zdjął ubrania. Przed zaśnięciem wolała nie myśleć o Colinie w stroju Adama. Czyżby brakowało jej mężczyzny? Może czasami... Nie było jednak takiej rzeczy, której Rowena nie byłaby w stanie sobie zapewnić. W sypialni i poza nią.

Ale może z Colinem byłoby przyjemnie...

ROZDZIAŁ TRZECI

Następny dzień dłużył się w nieskończoność. W pracy Rowena próbowała skupić się na obowiązkach, ale przed oczami wciąż miała scenę, kiedy Colin, po tym, jak wpadł do wody, poszedł z nią do letniego domku i tam zdjął mokry sweter. Widziała jego nagi tors, umięśnione ramiona i w jednej chwili zapominała o bożym świecie.

Może dziś wieczorem znów przyjdzie na basen? A jeśli tylko z niej żartował? Może po krótkiej rozmowie wydała mu się nudna?

Przez całe popołudnie była zdenerwowana. Nie mogła się skoncentrować, nawet kiedy podczas kolacji Dylan opowiadał, co działo się w przedszkolu. A jeśli Colin jednak przyjdzie? Co wtedy? Przyjechał tu na krótko. Nie ma szans na trwały związek. Ona teraz jest odpowiedzialną matką. Okres przelotnych romansów ma za sobą. Zakończyła go w dniu, w którym odkryła, że jest w ciąży.

A więc nieważne, czy pan Middlebury przyjdzie na basen, czy nie. To bez znaczenia. Dlaczego w takim razie poczuła żal, gdy zobaczyła pusty leżak?

Kiedy po pływaniu wracała do rezydencji, przyszło jej do głowy, by pójść do niego i powiedzieć, że miło wspomina wczorajszą pogawędkę i że jeśli będzie czegoś chciał, wystarczy jedno słowo.

- Roweno, chcę tylko ciebie. - Wyobrażała sobie, że tak by jej odpowiedział. I byłby bez koszuli; powiedzmy, że właśnie wyszedłby spod prysznic, a na jego torsie skrzyłyby się kropelki wody. Miałby mokre rozczochrane włosy. Wyciągnąłby do niej rękę, a ona najpierw przez chwilę by się wahała, a potem ufnie podała mu dłoń. Zaprowadziłby ją do sypialni, zamknął drzwi...

Energicznym krokiem ruszyła przed siebie. To się nie wydarzy. To niemożliwe.

Następnego ranka nie myślała o nim wcale. Aż do chwili, gdy

zobaczyła go na tarasie rezydencji w towarzystwie ojca i radcy prawnego.

- Cześć, Colin. - Uśmiechnęła się. Serce zabiło jej mocniej.

- Dzień dobry, panno Tate - odparł z powagą. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Zrozumiała aluzję. Wyprostowała się dumnie i odeszła. Nie miała prawa czuć się obrażona. Przecież rozmawiali zaledwie raz i nic jej nie obiecywał. Spłoszona zaszyła się w gabinecie, starając się skupić na pracy. Co się z nią dzieje? Zachowuje się jak dzikuska. Przesiaduje bez przerwy w przedszkolu, nigdzie nie bywa i takie są tego efekty.

Po południu jeden z jej podopiecznych, Davis, upadł na placu zabaw i mocno potłukł sobie ramię. Rowena okładała je lodem do przyjazdu jego matki, która w panice od razu zabrała go do szpitala. Jako dyrektor przed wyjściem z pracy wypełniła stosowny raport dotyczący wypadku, wysłuchując ostrej reprymendy ojca - oczywiście w obecności Dylana - bo jak się łatwo domyślić, to jej wina, że ten nieco nadpobudliwy dziesięciolatek spadł z drabinki.

- Davis złobił bam - oznajmił Dylan, kiedy wieczorem układała go do snu.

- Tak. Davis zrobił bam. - Troskliwie nakryła syna kołderką. - Ale jego mamusia dzwoniła i powiedziała, że to było małe „bam”. Nic mu się nie stało.

W dużych orzechowych oczach syna zobaczyła ulgę. Dylan miał w sobie tyle empatii, zwłaszcza wobec dzieci, dlatego że sam wiele wycierpiał. Był fizycznie upośledzony, ale intelektualnie rozwijał się prawidłowo. Był bardzo spostrzegawczy jak na dwuipółlatka.

- Dziadek był zły.

- Nie, kochanie, nie był zły - skłamała. - Martwił się o Davisa. Davis ma się dobrze i wszystko jest w porządku. - Miała już dość usprawiedliwiania zachowania ojca. Dylan go uwielbiał. To

zrozumiałe. Miał w końcu tylko jednego dziadka. Pocałowała syna na dobranoc.

- Dostanę duże łóżecko? - Odkąd Dylan nauczył się mówić, zadawał to pytanie co wieczór.

Westchnęła i pogłaskała jego rudą czuprynkę.

- Tak, skarbie, już wkrótce dostaniesz duże łóżecko. Dla dużego chłopca takiego jak ty.

Miała poczucie winy, że wciąż go zwodzi, ale w łóżecku ze szczebelkami był bezpieczny. Gdyby dostał ataku w dużym łóżku, mógłby spaść i się potłuc.

Jak zawsze Dylan z uśmiechem przyjął tę pustą obietnicę i tuląc ulubioną wyścigówkę, odwrócił się na bok i zamknął oczy. Był taki malutki i bezbronny. Starła się mu zapewnić maksimum bezpieczeństwa.

Pocałowała go jeszcze raz i szepnęła:

- Kocham cię.

- Koam cie... - wymamrotał.

Zgasiła światło, sprawdziła nianię elektroniczną i wyszła na palcach z pokoju. Miała jeszcze dwadzieścia minut do przyjścia Betty. Szybko przebrała się w kostium i włączyła telewizję. W American News Service nadawano na żywo relację Angeliki Pierce. To właśnie ta stacja jako pierwsza doniosła światu o skandalu w rodzinie prezydenckiej.

Dziennikarka trajkotała jak nakręcona. Coś o ojcostwie i testach krwi, o Arielli, nieślubnej córce prezydenta, i Eleanor, jego licealnej miłości. Na koniec, nie kryjąc złośliwego uśmiechu, stwierdziła, że obie panie odmawiają komentarzy. Diabelski błysk w oku dziennikarki dowodził, że jest w swoim żywiole.

Rowena już miała zmienić kanał, kiedy naraz doznała olśnienia. Nigdy nie lubiła Angeliki Pierce. Sądziła, że to z powodu marnego dziennikarstwa, jakie uprawiała. Reporterka wydawała się jej

dziwnie znajoma i teraz wreszcie zrozumiała dlaczego.

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer szkolnej koleżanki, Caroline Crenshaw. Cara, do niedawna specjalistka PR w Białym Domu, przekazywała Rowenie najświeższe ploteczki ze stolicy, utwierdzając ją w przekonaniu, że słusznie zrobiła, porzucając to miasto. Telefon odebrał Max, narzeczony Cary, i dopiero wtedy Rowena przypomniała sobie o różnicy czasu. W Waszyngtonie dochodziła północ.

- Przepraszam, że tak późno dzwonię. Czy Cara jeszcze nie śpi?

- Nie. Dam ci ją - odparł Max. Nastąpiła krótka pauza i po chwili w słuchawce rozległ się zaniepokojony głos Cary. - Cześć, Row, co się stało?

Cara podejrzewała najgorsze. Nieraz zdarzyło jej się odebrać nocny telefon od pijanej przyjaciółki.

- Wszystko w porządku. Zapomniałam o różnicy czasu. Mam krótkie pytanie.

- Co za ulga. Bałam się, że coś z Dylanem.

Czy raczej, że znów poszła w tango i wpakowała się w kłopoty? Rowena nie miałaby jej za złe takich podejrzeń.

- Dylan smacznie śpi. Oglądasz telewizję?

- Tak, wiadomości.

- W NCN?

- Jasne.

Nietrudno było odgadnąć. Max był znanym dziennikarzem tej stacji. Do swoich programów zapraszał polityków z pierwszych stron gazet.

- Przełącz na chwilę na ANS.

- Tylko nie to. Po co?

- Przełącz. Widzisz Angelicę Pierce?

- Aha. To czołg, nie kobieta. Współczuję temu, kto stanie na jej drodze.

- Czy ona ci kogoś nie przypomina?

- Bo ja wiem. Nigdy jej nie lubiłam. Chyba przez to tanie dziennikarstwo lansowane przez ANS. I teraz jeszcze ta podła kampania przeciwko prezydentowi.

- Przyjrzyj się. Nie przypomina ci kogoś z naszej szkoły?

- Niby kogo?

- Madeline Burch.

- Ożeż ty! Niezły był z niej numer!

Madeline Burch była zupełnie przeciętną dziewczyną, która za wszelką cenę chciała zaimponować rówieśnikom. Dlatego rozpowiadała dokoła, że jej biologiczny ojciec jest miliarderem i płaci jej matce kupę kasy za milczenie. Cała szkoła uważała, że Madeline brak piątej klepki. Z czasem jej zachowanie stało się tak nieznośne i nieprzewidywalne, że w końcu ją wyrzuciono.

- Przyjrzyj się Angelice i pomyśl o Madeline.

- Rzeczywiście, trochę ją przypomina, ale jest dużo ładniejsza i bardziej wystylizowana.

- Myślisz, że to ona?

- Pod warunkiem, że zmieniła nazwisko i wygląd. Tylko po co miałyby to robić? - zastanawiała się Cara. - Daj mi kilka dni. Popytam wśród znajomych. Oddzwonię.

- Dobra. Sprawdzę, co mówi o niej internet.

Rowena się rozłączyła i wyszukała w internecie wiadomości na temat Madeline Burch. Ostatnia informacja dotyczyła incydentu w Woodlawn Academy, kiedy Madeline wpadła w szal i pobiła kolegę, który nazwał ją kłamczuchą i świruską. Potem ślad się urywał. Rowena wrzuciła też w Google nazwisko Angeliki Pierce. Z wyświetlonych linków wynikało, że ta dziewczyna zaczęła istnieć w wirtualnym świecie dopiero po dwudziestce.

Punktualnie o dziewiątej do drzwi zastukała Betty. Rowena zdążyła jeszcze napisać krótkiego mejla do Cary z informacją, że jej

internetowe poszukiwania okazały się bezowocne. Potem ruszyła w stronę basenu. Była tak zamyślona, że w pierwszej chwili nie zauważyła zarysu sylwetki na leżaku. Leżaku Colina.

Kiedy podeszła bliżej, spostrzegła, że miał lekko przechyloną na bok głowę i zamknięte oczy. Oddychał miarowo. Ręce opierał na udach i trzymał w nich szklanę z napojem, który wyglądał jak herbata. Nie było to najlepsze miejsce do trzymania płynu. Gdy Rowena wskoczy do wody, głośne pluśnięcie na pewno go przestraszy, herbata wyleje się na spodnie i kolejna szkoda gotowa.

- Colin... - szepnęła, ale nawet nie drgnął.

Może lepiej go nie budzić? Mogłaby wziąć szklanę i postawić ją na stoliku. Wyciągnęła rękę. Nawet w najskrytszych marzeniach nie spodziewała się, że będzie trzymać dłoń tak blisko jego ud. Jak najdelikatniej ujęła szklanę i powoli ją uniosła. Podniosła wzrok na jego twarz. Miał otwarte oczy i się na nią gapił.

Herbata wsiąkała w spodnie. Colin pomyślał, że powinien był mieć zamknięte oczy do chwili, gdy Rowena przesunie szklanę na bezpieczną odległość. Ale kiedy facet fantazjuje o dziewczynie, potem otwiera oczy i widzi jej ręce centymetr od rozporoka, trudno nie patrzeć, co będzie dalej. W pierwszej chwili wydawało mu się nawet, że wcale nie sięgała po szklanę.

- O Boże, przepraszam! - zawołała Rowena. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. - Nie wierzę, że to się stało. Powiedz, że nie była gorąca. Mam nadzieję, że nic nie uszkodziłam... tam.

- Była zimna. Wszystko „tam” jest w porządku. - Postawił szklanę na stoliku.

Podawała mu ręcznik.

- Nie wiem, czy ręcznik tu coś pomoże?

Wstał z leżaka, by się lepiej przyjrzeć plamie. Po chwili oddał jej ręcznik.

- Chyba nic.

- Co za pech! Chciałam wziąć kubek z twoich kolan właśnie po to, żebyś nie zalał spodni herbatą.

- Ludzie pomyślą, że jestem stuknięty. Raz chodzę w spodniach wymazanych farbą, potem w mokrych ciuchach, teraz to. - Wskazał na brązową plamę.

Przygryzła wargę, by się nie roześmiać.

- Może pójde do ciebie po czyste spodnie. Albo włóż kąpielówki. Są w domku. Na pewno znajdziesz coś w odpowiednim rozmiarze.

Jeszcze tego brakowało, by senator przyłapał córkę, jak wychodzi z jego apartamentu. Tutaj, przy basenie, przynajmniej nikt ich nie widzi.

- Wystarczą kąpielówki.

- Chodźmy.

Weszła do domku i włączyła światło. W ciemności wydawało mu się, że Rowena ma na sobie sukienkę, teraz się zorientował, że to był cienki szlafroczek, pod którym miała... bikini. Skąpe bikini. Zastanawiał się, czy włożyła je na wypadek, gdyby znów przyszedł na basen. Zresztą to bez znaczenia. Ma przecież trzymać się od niej z daleka.

- Tam jest półka z kąpielówkami. Wybierz sobie.

Colin wziął kąpielówki w swoim rozmiarze i poszedł do łazienki. Zdjął mokre spodnie i bokserki. Dopiero wtedy zauważył, że brzeg koszuli też był mokry. Zdjął więc koszulę i włożył kąpielówki. Kiedy wszedł do kuchni, Rowena pochylała się nisko, szukając czegoś w lodówce. Szlafroczek opinał jej krągłości i unosił się lekko, odsłaniając gładkie uda.

Cholera jasna! Odchrząknął.

- Te są dobre - oznajmił głośno.

Wyprostowała się gwałtownie i odwróciła do niego, ściskając w dłoni puszkę z jakimś napojem. Spojrzała na kąpielówki, a potem

omiotła go wzrokiem. Odgadując jej myśli, dodał szybko:

- Koszula też była mokra.
- Ale duże! - krzyknęła. - To znaczy, chodzi mi o kąpielówki.
- Miałem do wyboru te albo Speedo.

Już otwierała usta, by rzucić komentarz, ale zamiast tego zapytała:

- Wody sodowej? Czy wolisz coś mocniejszego?

Wolałby coś zupełnie innego, ale tego akurat nie mógł mieć. Powinien wziąć prysznic. Powinien wyjść stąd jak najszybciej.

- Woda wystarczy.

Wyciągnęła z szafki dwie szklanki, nalała do nich wody i dorzuciła lodu. Gdy podawała mu szklankę, na ułamek sekundy ich palce się zetknęły. Przysięgłby, że w tej samej chwili zadrzała. No dobra. Wystarczy. Nie powinien tu w ogóle być. Powinien teraz siedzieć w pokoju i oglądać telewizję. No, zrób to, po co tu przyszedłeś!

- Znalazłam cię w Google'u - wypaliła nagle.

- Serio?

- Byłam ciekawa, skąd masz te blizny na plecach. Ojciec mówił, że jesteś bohaterem, ale myślałam, że przesadza. Tymczasem ty naprawdę jesteś bohaterem.

- To zależy od punktu widzenia. - Wzruszył ramionami.

- Wyciągnąłeś człowieka z płonącego helikoptera, mimo że sam byłeś ranny. To się nazywa bohaterstwo.

- Niewiele z tego pamiętam. Wiem, że wpadliśmy w burzę piaskową, helikopter zaczął spadać i uderzył w ziemię. Wypadłem z kabiny. Wiedziałem, że William jest w środku. Dzięki adrenalinie nawet nie czułem, że jestem ranny.

- Uratowałeś go.

- Podczołgałem się z powrotem do helikoptera. Nic nie było widać, tylko gryzący w oczy pył. Nie mogłem oddychać. Macałem na ślepo rękami i wreszcie go znalazłem. Do eksplozji doszło, kiedy byliśmy

w odległości kilku metrów od wraku. Ogień zajął mi plecy, straciłem przytomność. Na szczęście William się ocknął i go zgasił, a potem zaciągnął mnie dalej. Obudziłem się już w szpitalu.

- Spłonąłby w kabinie, gdybyś go nie wyciągnął.

- Byłem jego jedyną szansą na przeżycie. Zresztą, on zrobiłby dla mnie to samo. Proste.

- Podobno mocno się poparzył?

- Własnymi rękami ugasił ogień na moich plecach.

- Żyje dzięki tobie. Ma żonę i czwórkę dzieci.

Colin obojętnie pokiwał głową.

- Wiem, że ludzie przylepili mi łatkę bohatera, ale ja tak na to nie patrzę. Każdy żołnierz postąpiłby tak samo na moim miejscu. To nasza praca.

- Tak, ale to nie umniejsza waszego bohaterstwa. Zamierzasz wrócić do czynnej służby?

- Nie. Z taką nogą nie nadaję się do walki. Dlatego dostałem wybór. Emerytura albo praca za biurkiem. Jestem żołnierzem. Żołnierze nie siedzą za biurkiem.

- Co teraz zamierzasz?

- Przyjaciel zaproponował mi stanowisko w firmie ochroniarskiej. Muszę tylko porządnie wyleczyć rany.

- Wciąż bolą?

- Noga od czasu do czasu. - A właściwie bez przerwy, choć nie tak bardzo jak kiedyś. Tuż po operacji ból był nie do zniesienia. Od miesiąca wystarcza mu ibuprofen.

- A plecy? - zapytała.

- Nie bolą.

- Mogę... dotknąć? - Co za pomysł! Wiedziała, że igra z ogniem.

Zatrzymał wzrok na jej ustach. Pełnych, różowych, które aż się prosiły, by je całować. Zwilżyła je językiem...

Cholera. Trzeba przerwać tę grę.

- Roweno. - Odstawił puszkę z wodą. - Musimy porozmawiać.
- Coś się stało?
- Muszę cię przeprosić za wczoraj. I za dzisiejszy ranek też.
- W porządku.
- Wczoraj byłem wobec ciebie zbyt... wylewny. Obawiam się, że wprowadziłem cię w błąd swoim zachowaniem.
- Może trochę - przyznała.
- A dziś rano... nie ma usprawiedliwienia dla mojego zachowania. Byłem nieuprzejmy. Przepraszam.
- I?
- Podobasz mi się, ale to niemożliwe.
- Chodzi o moją przeszłość, tak? Boisz się, że zbezczeszczę twoje dobre imię?
- Nie! O Boże, nie. Nie o to chodzi. To przez twojego ojca. Zmarszczyła brwi.
- Co on ma do tego?
- Pierwszego dnia po moim przyjeździe ucieliśmy sobie pogawędkę. O tobie. Ostrzegł mnie, żebym trzymał się od ciebie z daleka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, zresztą, nawet gdyby wiedziała, i tak nie wydusiłaby z siebie ani słowa, bo zatkało ją ze złości.

Ojciec decydował o całym jej życiu. Gdzie mieszka, gdzie pracuje, gdzie się leczy jej syn. Teraz ma zamiar kontrolować jej życie towarzyskie! I co jeszcze? Może styl ubierania? Może rodzaj szamponu?

Od ponad trzech lat robiła i mówiła to, czego od niej oczekiwał. To była cena za grzechy przeszłości, płaciła ją na każdym kroku. Ojciec nigdy nie odpuści. Nigdy nie pozwoli jej żyć własnym życiem. Co jeszcze ma zrobić, by w końcu jej zaufał, by w końcu zrozumiał, że się zmieniła?

Nienawidziła go z całej duszy. Nienawidziła go tak bardzo, że już bardziej się nie dało.

- On się o ciebie martwi - odezwał się Colin.
- Nie o to mu chodzi. Uwierz mi. - Głos jej się łamał.
- Nie denerwuj się, proszę.

Wzięła głęboki oddech.

- Postawmy sprawę jasno. To, z kim się spotykam, to żaden jego interes!

- Masz rację. Ale nie mogę ryzykować, że się wycofa z traktatu.
- Groził ci, że się wycofa?
- Dał mi to do zrozumienia.

Teraz nie znosiła go jeszcze bardziej. Odchodziła od zmysłów. Dlaczego tak nią pomiatał? I dlaczego, do licha, mu na to pozwalała?

- Roweno - Colin chwycił ją za ramię - źle się czujesz?

Potrząsnęła głową, ocierając z policzka łzy. Tym razem ojciec

przesadził. Przekroczył wszelkie granice.

To koniec. Od teraz bierze swoje życie w swoje ręce. Ucieknie stąd. Jeszcze nie wie dokąd i jak, ale na pewno coś wymyśli. Tu chodzi o jej dumę i honor. I o coś jeszcze.

- Colin, chciałbyś mnie pocałować?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Możesz powiedzieć „nie”. Chcę wiedzieć.

- Chciałbym, ale...

- Ja też - przerwała mu. - Pierwszy raz od trzech lat spotkałam kogoś, kogo chcę pocałować. Musiałabym upaść na głowę, żeby słuchać czyichś zakazów, a już zwłaszcza ojca. Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Nie powiem nikomu. Jeśli więc naprawdę tego pragniesz, pocałuj mnie.

Nie spuszczając z niej wzroku, wsunął ręce w jej włosy i pieścił jej szyję. Nachylił się do niej, lekko przechylając głowę. Wstrzymała oddech...

Przymknęła powieki i poczuła na ustach lekkie muśnięcie warg. Raz, potem drugi. Obietnica namiętnego pocałunku. Odsunął się od niej, wciąż nie spuszczając z niej wzroku. I już koniec? Tylko tyle? Serio?

- Colin, nie obraź się, ale czekałam na to trzy lata. Nie mów, że nie stać cię na więcej.

Objął ją zdumiewająco szybko - pewnie wyćwiczyli go w wojsku, a może jest prawdziwym wojownikiem ninja? W każdym razie w jednym ułamku sekundy stał i na nią patrzył, a w drugim już trzymał ją w ramionach i całował. I to jak! Kiedy ich usta się wreszcie rozłączyły, Rowenie kręciło się w głowie. Miała wrażenie, że ze szczęścia się rozpłynie.

- No i jak? - zapytał.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

- Chyba po raz pierwszy kobieta dziękuje mi za pocałunek. Nie

jestem pewien, czy zasłużyłem.

- Dlaczego?

- Bo stać mnie na więcej. - Uśmiechnął się zaczepnie.

- Co się z tobą dzieje?

Rowena podniosła głowę znad biurka. W drzwiach gabinetu stała Tricia.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- Przez cały dzień się uśmiechasz.

- Nieprawda. - Potrząsnęła głową.

- Poznają ten uśmieszek. Zadurzyłaś się? - zgadywała Tricia. - Coś przede mną ukrywasz.

Komu ma zaufać, jeśli nie najbliższej przyjaciółce?

- Dobra. Zamknij drzwi.

Tricia pośpiesznie to zrobiła i przysiadła na biurku.

- No i?

- Tylko nikomu nie mów.

- Przysięgam. Poznałaś kogoś? Spałaś z nim?

- Lepiej - odparła Rowena. - Całowałam się.

- I tylko tyle? - Tricia wyglądała na rozczarowaną.

- Aha.

- Nic więcej?

- Nic. Całowaliśmy się. Ale za to jak! Miałam wrażenie, że znów jestem nastolatką i pierwszy raz całuję się z chłopakiem. Straciłam poczucie czasu i przestrzeni. Cały świat przestał istnieć. Było... idealnie.

- Ojej - westchnęła rozmarzona Tricia. - Też tak chcę.

- Było jak w raju.

- Powiedz, kto to jest i gdzie się poznaliście. Przez internet? Ludzie tak teraz robią.

- Nie. Nie przez internet. - Rowena się roześmiała.

- To kto... - urwała, gdy rozległo się pukanie.

Otworzyła drzwi, a Rowena wybałuszyła oczy. Do gabinetu wszedł Colin. Miał na sobie dresy i mokrą od potu koszulkę. I wyglądał obłądnie. Serce zabiło jej mocniej, a na twarzy pojawiły się rumieńce.

- Colin... cześć - wykrztusiła, zastanawiając się, co on tu robi i dlaczego ryzykuje wpadkę.

- Masz chwilę? - zapytał.

- Jasne. Tricia, wybacz.

Tricia spojrzała na Colina, potem na Rowenę i już wiedziała, co jest grane.

- Nie ma problemu.

Kiedy drzwi się zamknęły, Rowena zapytała wprost:

- Co ty tu robisz? A jak ktoś cię widział?

- Twój ojciec jest na spotkaniu, postanowiłem więc pobiegać. Jak ktoś zapyta, powiem, że wpadłem po szklankę wody.

- Colin, nie wolno ci tu być. Przecież umawialiśmy się, że to miał być ten jedyny raz.

- I od tego razu cały czas o tobie myślę.

- Nie mów tak, proszę. - Jego słowa ją podniecały. Tak samo jak wczoraj, kiedy powtarzał: „Nie odchodź. Zostań jeszcze chwilę. Jeszcze jeden pocałunek”. Kto by się oparł? Teraz jednak nie mogła mu ulec. - Pragniesz mnie tylko dlatego, że nie możesz mnie mieć.

- Nieprawda - zaprzeczył. A kiedy uniosła znacząco brwi, dodał: - No, może trochę. Nic nie poradzę, że lubię wyzwania.

- Colin, jeśli ktoś nas przyłapie...

- Nikt nas nie przyłapie.

- Ale jeśli jednak...

- Rowena...

Ktoś niecierpliwie zastukał do drzwi.

- To ja, Row - ponaglała Tricia. - To pilne.

- Wejdz.

Tricia niepewnie zerknęła do środka, jakby się spodziewała, że będą już północy.

- Wypadek na placu zabaw.

Rowena zerwała się z fotela i wymijając Colina, popędziła do drzwi.

- Nie denerwuj się - ciągnęła Tricia. - Nic poważnego.

- Kto?

- Skończy się na kilku szwach.

- Kto, Tricia?

- Dylan, ale...

Rowena wybiegła, a Colin ruszył za nią. Miał szkolenie z pierwszej pomocy. Mógłby się przydać.

- Tak przy okazji, jestem Tricia Adams - zawołała za nim Tricia.

- Colin Middlebury - odkrzyknął.

Na placu zabaw przy drabinkach siedziała na ławce dziewczyna i tuliła do siebie szczupłego chłopczyka o rudych włosach i dużych wyrazistych oczach. Na pierwszy rzut oka widać było, że to syn Roweny.

Dziewczyna przyciskała do jego głowy kawałek poplamionej krwią chustki. Chłopczyk nie płakał, nawet nie wyglądał na przestraszonego.

- Co się stało? - zawołała Rowena, wyciągając syna z objęć opiekunki. Delikatnie zdjęła opatrunek z chustki i obejrzała ranę.

- Potknął się i uderzył głową o drabinkę - wyjaśniła Tricia.

- Biegł?

Tricia pokiwała głową. Rowena chwyciła syna za podbródek i spojrzała mu w oczy.

- Dylan, co mówiłam o bieganiu? - zapytała.

Chłopiec zrobił podkówkę i wzruszył ramionami.

- Wolno biegać na placu zabaw?

Zadrżała mu bródka. Potrząsnął głową.

- A dlaczego nie wolno biegać?

- Bo można złościć bam - odparł dziecięcym głosem.

- A mimo to biegałeś - upominała go. - I co się stało?

- Złościłem bam.

- I uderzyłeś się, tak?

Pokiwał głową.

- Następnym razem będziesz słuchać mamy?

Znów pokiwał głową. Colinowi zrobiło się go żal. Dlaczego nie przytuliła go ani nie pocałowała?

- Trzeba to zszyć. - Rowena jeszcze raz obejrzała ranę. - Zajmij się przedszkolem, a ja pojedę do szpitala - zwróciła się do Tricii.

Kiedy padło słowo „szpital”, Dylan się przestraszył.

- Nie! Mama, nie do szpitala! - zapiszczał.

- Kochanie, uderzyłeś się bardzo mocno. Pan doktor musi cię zbadać.

Malec wpadł w panikę.

- Nie do doktora! - darł się w niebogłosy.

- Mogę zobaczyć ranę? - zapytał Colin.

Rowena dopiero teraz zauważyła jego obecność. Zmarszczyła brwi i przytuliła Dylana.

- Po co? - zapytała.

- Jestem ratownikiem medycznym. Widziałem wszelkie możliwe rany. Może obejdzie bez szwów. I szpitala.

Dylan przestał płakać i spojrzał na Colina z nadzieją.

- Zgadzasz się, kochanie? - Rowena zwróciła się do syna. - Pan Middlebury obejrzy twoją ranę?

Dylan zmrużył podejrzliwie oczy.

- Jesteś doktorem?

- Niezupełnie, ale wiem, jak pomagać rannym ludziom. - Colin ukucnął przed chłopcem. - Mogę obejrzeć?

Dylan zawahał się, a potem pokiwał głową.

Colin delikatnie rozczesał oblepione krwią włosy. Rana była niewielka, mniej więcej na pół centymetra, ale bardzo głęboka. Mimo to krwawienie ustąpiło.

- Boli? - zapytał. Dylan tylko wzruszył ramionami.

Istniało ryzyko zakażenia. Szew albo dwa załatwiłyby sprawę, ale dzieciak wyraźnie bał się szpitala. Na szczęście Colin znał kilka trików.

- Nie trzeba szyc - stwierdził.

Rowena spojrzała na niego, jakby zwariował.

- Przecież ta rana jest... - starannie dobierała słowa - głęboka.

Włosy utrudnią założenie opatrunku.

Nonsens. Włosy pomogą zamknąć ranę.

- Masz apteczkę?

- Oczywiście, ale...

- Odrobina zaufania, Roweno.

Już miała coś powiedzieć, ale wtrącił:

- Widzisz, że chłopak przeżył traumę. Dasz mi szansę czy wolisz się nad nim poznęcać?

- No dobra - odparła po chwili wahania. - Tylko nie zrób mu krzywdy.

Tak jakby mu na tym zależało!

- Najpierw trzeba umyć ranę - polecił.

- Chodźmy do łazienki - powiedziała Rowena.

W łazience Colin dokładnie umył ręce.

- Weź go na kolana i trzymaj mocno - zwrócił się do Roweny.

Zamknęła pokrywę sedesu, usiadła i posadziła Dylana na kolanach. Tricia podała Colinowi apteczkę.

Colin wyszukał potrzebne przybory i ustawił je na umywalce.

- Muszę wyczyścić ranę. Może trochę szczypać, ale jak wytrzymasz, nie trzeba będzie jechać do szpitala - wyjaśnił

Dylanowi.

Chłopczyk odetchnął z ulgą. Nawet nie drgnął, kiedy Colin przemywał ranę lekarstwem.

- Jakiś ty dzielny! - Rowena pocałowała syna w policzek.

- Teraz się nie ruszaj, dobrze? - Colin wziął dwie pęsety i zanurzył w środku antyseptycznym. Oddzielił nimi kilka kosmyków po obu stronach rany. Przy trzeciej próbie udało mu się spleść kosmyki w mocny supeł, który szczelnie zamknął ranę jak prawdziwy szew.

- Genialne! - Tricia uśmiechnęła się.

- Gdyby miał trochę krótsze włosy, trzeba by było jechać na pogotowie.

Rana była na tyle niewielka, że wystarczyły dwa supły. Colin przyłożył do niej płynny bandaż chroniący przed brudem i wzmacniający supły.

- I po sprawie! - Colin delikatnie potargał włosy Dylana. - Bolało?

Chłopiec przybliżył palec wskazujący do kciuka na odległość centymetra, by pokazać, że bolało, ale tylko troszeczkę.

- Nie ma szpitala? - zapytał mamę.

- Nie, kochanie. Nie jedziemy do szpitala.

- Przez kilka dni nie myjcie rany wodą. Niech się lepiej zasklepi.

- Dziś rano mył głowę, przeżyje. Najwyżej będzie miał śmierdzące włoski - zażartowała i połaskotała synka.

- Śmiedzonce włoski, śmiedzonce włoski! - Dylan chichotał, jakby nigdy w życiu nie słyszał równie zabawnego żartu.

- Podziękuj Colinowi - powiedziała Rowena.

- Tuli. - Dylan wyciągnął rączki i dopiero wtedy Colin zrozumiał, że mały chciał się przytulić. Colin niezgrabnie objął drobne ciało, a Dylan odcisnął na jego policzku mokrego buziaka.

- Po takiej aferze drzemka dobrze ci robi. - Rowena wzięła syna za rękę.

Na twarzy Dylana rozbłysnął uśmiech.

- Kotin tuli?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rowena spojrzała niepewnie na Colina. Szanse, że ktoś ich zobaczy, gdy razem idą do domu, były spore, ale czy to nie są okoliczności łagodzące?

- Jasne, że cię utulę do snu - odparł Colin, choć nie miał pojęcia, jak to zrobić.

- Jesteś pewien? - zapytała Rowena.

- Oczywiście.

- Poradzisz sobie beze mnie? - zwróciła się do Tricii.

- Pewnie. Połowa grupy dziś nie przyszła. Grypa.

- Przynieś plecak, Dylan - poleciła Rowena.

Colin odprowadził go wzrokiem do drzwi i teraz już zrozumiał, dlaczego bieganie po placu zabaw było dla niego ryzykowne. Nie chodził normalnie, tylko kuśtykał, niepewnie balansując na krawędziach stóp. Wyglądało to tak, jakby w każdej chwili mógł się wywrócić.

Po kilku minutach Dylan wrócił. Rowena chciała wziąć go na rękę, ale Dylan zaprotestował.

- Nie ty. Kołn.

Zawahała się, lecz Colin bez wahania wziął chłopczyka na rękę i poszli do jej apartamentu.

Skrzydło rezydencji zajmowane przez senatora przypominało muzeum. Nudne beże, pretensjonalne złoto i zupełnie zbędny, zdaniem Colina, przepych. Apartament Roweny i Dylana stanowił przeciwieństwo pałacu gospodarza: istna feeria barw, wzorów i stylów. Niby nic tu nie pasowało, jednak całość tworzyła przytulne gniazdko, w którym panował twórczy bałagan.

- Tam jest pokój Dylana - powiedziała Rowena.

Colin szedł za nią korytarzem. Na ścianach wisiały fotografie

Dylana upamiętniające jego życie od narodzin. Już wtedy widać było, że jest chory. Mimo to chłopczyk na wszystkich zdjęciach się uśmiechał. Colin od razu zauważył, że brakuje tu ojca Dylana. Rozwód? Separacja? Może nigdy nie zainteresował się synem?

- Wyjdę na kompletnego ignorantę - kajał się Colin - ale powiedz mi, jak się kładzie dziecko do snu?

- Colin potrzebuje twojej pomocy. Wytłumacz mu, jak to się robi. - Rowena zwróciła się do syna.

- Łuzeczko.

Colin włożył go do łóżeczka. Dylan położył się i zawołał:

- Koldełka.

Colin spojrzał bezradnie na Rowenę, a ona wskazała wiszący na szczebelkach łóżeczka kocyk. Trzeba go przykryć. No przecież! Colin przykrył Dylana kocykiem.

- No i jak?

- Dobrze.

Rowena chyba była innego zdania, bo pochyliwszy się nad synem, by dać mu buziaka, wprawnym ruchem poprawiła kocyk.

- Boli cię jeszcze? - zapytała. Dylan potrząsnął główką. - Śpij, kochanie.

Kiedy wyszli z pokoju, ukryła twarz w dłoniach.

- Jestem okropną matką.

- Nie pleć głupstw! - zaprotestował Colin.

- Moje dziecko rozbija sobie głowę, a ja co robię? Strofuję go. Co ze mnie za matka?

- Chodźmy stąd. Niech Dylan się wyśpi.

Weszli do salonu i usiedli na sofie. I choć Rowena zdawała sobie sprawę, że ostatnia rzecz, której Colin pragnął, to siedzieć tutaj i słuchać jej wynurzeń, słowa same wypłynęły z jej ust.

- Boję się, że Dylan mnie kiedyś znienawidzi.

- Przecież on cię uwielbia.

- Wpędzam go w poczucie winy.
- Jestem pewien, że jak się wyśpi, zapomni o sprawie.

Pokręciła głową.

- Nie znasz Dylana. On wszystko pamięta.
- Gdyby tak było, nie zapomnialiby, że nie wolno mu biegać.
- Jest jeszcze mały. Chyba jestem dla niego za ostra.
- Rowena, posłuchaj. Przestraszyłaś się i trochę przesadziłaś z reakcją. Dzieciaki są odporne. Wiem o tym. Sam kiedyś byłem dzieckiem.

Rola samotnej matki ją przerastała. Nie zamierzała zwierzać się z tego Colinowi.

- Przepraszam, że cię w to wciągnęłam.
- W co? - spytał zaskoczony.
- W to wszystko. - Zakreśliła w powietrzu koło. - W ten domowy kocioł. Wiem, że trzymasz się z dala od takich rzeczy. Nie chciałam cię przedstawiać Dylanowi.

- Dlaczego? Cieszę się, że go poznałem. To fajny dzieciak.
- Dzięki za to, co zrobiłeś. Dylan nie znosi szpitali.
- Domyślam się. Wystarczy spojrzeć na zdjęcia w korytarzu. Zdaje się, że spędził tam sporo czasu.

- Urodził się z porażeniem mózgowym. Lekarze straszili, że nie będzie chodził, że będzie upośledzony umysłowo. Nie słuchałam ich. Chciałam udowodnić, że się mylą. Od urodzenia stan zdrowia Dylana poprawił się o całe lata świetlne, ale tylko dlatego, że z nim bez przerwy pracuję. Ma problemy z mówieniem, dlatego ludzie czasem myślą, że jest opóźniony.

- Uważam, że jest wyjątkowo inteligentny.
- Bo taki jest. Zaczął chodzić dopiero w wieku dwóch lat, ale pierwsze dwu-, trzywyrazowe zdania układał, zanim skończył rok.
- Ile teraz ma lat?
- Dwa i pół.

- Jest bardzo rezolutny jak na swój wiek.
- Czasami za bardzo! Zwłaszcza gdy robi coś, czego mu nie wolno, na przykład, biega.
- Ale nic mu się nie stało - pocieszał ją Colin.
- Tym razem nic, ale może następnym?
- Nie myśl o tym.
- Jak mam o tym nie myśleć? Bez przerwy żyję w strachu, że coś mu się stanie. Jest taki kruchy i bezbronny.
- Nie sprawia takiego wrażenia.
- Tak sądzisz? - spytała zaskoczona.
- Nie ma lekkiego życia, ale się nie poddaje. Przewrócił się, uderzył i nawet nie zapłakał. Niewiele dzieci w jego wieku tak by się zachowało.
- Przechodził dużo gorsze rzeczy.
- No właśnie. Chce być taki jak inne dzieci. Chce być normalnym chłopcem.
- Ale nie jest.
- Nie o to chodzi.
- A o co?
- Nieważne, jak ty go widzisz ani jak widzą go inni. Ważne, jak on sam siebie postrzega.
- Stan jego zdrowia to wielka niewiadoma. Ostatnio zaczął mieć ataki. Najpierw bałam się go zostawić samego nawet na chwilę. Kiedy Tricia przyszła po mnie do gabinetu, przeraziłam się, że dostał ataku.
- Ale nie dostał.
- To znaczy tylko tyle, że leki działają. Neurolog wierzy, że z tego wyrośnie.
- To bardzo dobrze. A inne schorzenia?
- Nigdy nie będzie normalnie chodził. Czeka go kilka operacji wydłużenia ścięgien. Ma osłabiony układ immunologiczny, dlatego

jest bardziej podatny na choroby. Musi się dobrze odżywiać, dbać o siebie. Będzie mu w życiu ciężiej niż zdrowej osobie.

- Każdy dźwiga swój krzyż. Jeśli zaakceptujesz Dylana takim, jakim jest, on się nauczy akceptować siebie.

To była jej jedyna nadzieja.

- Colin, gdyby nie ty, to... Nawet nie chcę myśleć, przez co byśmy przechodzili. Nie wiem, jak ci dziękować.

Przysunął się bliżej.

- Jest taki jeden sposób.

- Colin... - urwała, gdy spojrzała mu w oczy.

- Przecież tego chcesz - szeptał. - Jesteśmy sami. Szkoda zmarnować taką okazję.

- Grasz nie fair - mruknęła, rozchylając usta do pocałunku.

- Czy wyglądam na typa, co gra fair?

- No dobra. Ale to już ostatni raz. Ostatni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pocałował ją. Potem jeszcze raz. Podobnie jak zeszłej nocy, dotykał tylko neutralnych części ciała. Rąk, ramion, twarzy. Ona tak samo. Dziś jednak nabrała ochoty na odważniejsze pieszczoty. Skoro to ma być ostatni raz...

Delikatnie przesunęła ręce na jego tors. Przez koszulkę wyraźnie wyczuwała ciepło rozpalonego ciała i przyspieszone bicie serca. Jeszcze przed chwilą czuła na plecach jego rękę. Nagle ją cofnął. Miała nadzieję, że podjął grę. Drgnęła rozczarowana, kiedy chwycił jej dłoń i przesunął ją z torsu na ramiona.

Zdaje się, że nie zrozumiał aluzji.

Odczekała minutę, by nie wypaść na zbyt napaloną albo, co gorsza, zdesperowaną i delikatnie pogładziła mięśnie jego brzucha. Znow złapał jej dłoń i tym razem przerwał pocałunek. W porządku, strzelaj.

- To nie jest dobry pomysł - rzekł z naciskiem.

- Bo co?

- Próbuję nad sobą zapanować. Nie kuś mnie.

Nie żartował. Widziała to w jego oczach. Zapragnęła go jeszcze bardziej, więc powoli przesunęła palec wzdłuż jego torsu aż do spodni. Tu zatrzymała palec i już miała go przesunąć do góry, kiedy nagle Colin wykonał błyskawiczny chwyt wojownika ninja. W ułamku sekundy znalazła się na jego kolanach, w następnym leżała pod nim. Patrzył na nią z góry, wciskając ją w poduchy sofy.

- Ostrzegalem.

Objęła go i zdjęła z niego koszulkę.

- Uwielbiam na ciebie patrzeć. - Oparła dłonie na jego nagim torsie. - I dotykać cię. I całować.

Rozległ się dzwonek telefonu, ale go zignorowała.

- Może lepiej odbierz - powiedział Colin.

Do licha, nie! Po raz pierwszy od trzech lat ma okazję być z mężczyzną. Nic jej w tym nie przeszkodzi.

- Włączy się sekretarka. Pocałuj mnie.

Telefon zamilkł, ale po chwili odezwał się znowu. Naprawdę akurat teraz? Nie można trochę później?

- Odbierz. Może to coś ważnego.

Ważny był dla niej tylko Dylan, a on przecież spał bezpiecznie w łóżeczku.

- Oddzwonię później. Pocałuj mnie.

Ściszyła dźwięk w telefonie i skupiła się na Colinie. Na smaku jego ust i zapachu ciała. I wtedy telefon znów zadzwonił. Colin przerwał pocałunek.

- Odbierz wreszcie.

Zaklęła pod nosem i wyciągnęła z kieszeni komórkę.

- Tricia, mam nadzieję, że to coś pilnego.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale senator się do ciebie wybiera. To chyba pilne, nie?

- Co? Po co?

- Opiekunka powiedziała mu o wypadku Dylana. Idzie go zobaczyć.

Cholera jasna!

- Dzięki za wiadomość.

- Nie ma za co. Jak wam idzie? - zapytała niewinnie.

- Później pogadamy. - Rozłączyła się.

Rzuciła telefon na stolik i poderwała się z sofy.

- Ojciec się dowiedział o wypadku Dylana. Idzie tu.

- Żartujesz? - zawołał Colin.

Podniosła z podłogi jego koszulkę i rzuciła w niego.

- Pewnie wolisz, żeby cię tu nie widział.

- Słusznie się domyślasz. - Ubrał się szybko.

Zastanawiała się, ile zostało im czasu, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

- I co teraz? - zapytał Colin.

- Szybko. Do mojej sypialni - syknęła, popychając go w głąb mieszkania. - Zawołam cię, kiedy teren będzie czysty.

Rozległo się pukanie, tym razem bardziej natarczywe. W chwili, gdy Colin zniknął w sypialni, Rowena otworzyła wejściowe drzwi.

- Och, tata! - Udała zaskoczenie.

- Gdzie jest Dylan? - Senator wszedł do środka.

- Śpi.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o wypadku? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

- Chodzi ci o Dylana? - Wzruszyła ramionami. - Nic mu się nie stało.

- Przecież krwawił. - Senator podejrzliwie rozglądał się po mieszkaniu. Na pewno nie szukał wnuka, bo ten przecież spał w swoim pokoju.

- Uderzył się w głowę, ale to nic poważnego - wyjaśniła.

- A Colin? - zapytał ojciec.

- Co z nim? - Udawała, że nie rozumie.

- Podobno wrócił z tobą do domu.

- Dylan chciał, żeby go położył spać.

- I?

- I... tak zrobił.

- Po co w ogóle przychodził do przedszkola?

- Był na joggingu i usłyszał płacz Dylana. Chciał pomóc. Podobno w wojsku przeszedł szkolenie z pierwszej pomocy.

- W Królewskiej Marynarce Wojennej - poprawił ją.

Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało dla niej żadnego znaczenia.

- Opatrzył Dylana i odprowadził nas do domu.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Wyszedł, kiedy Dylan zasnął. - Zamilkła na chwilę. -
A dlaczego pytasz? Spodziewałeś się, że będę go zabawiać przez resztę popołudnia?

- Ależ skąd!

- Zadzwoń do ciebie, kiedy Dylan się obudzi?

- Wychodzę wieczorem. Zobaczę się z nim rano przy śniadaniu.

Ta odpowiedź utwierdziła ją w przekonaniu, że stary bardziej się martwił odwiedzinami Colina niż zdrowiem własnego wnuka. Odprowadziła ojca do drzwi.

- Wypełniłaś raport o wypadku? - zapytał.

- Boisz się, że cię pozwę? - Spojrzał na nią znacząco. Może jednak się martwił? - Zrobię to jutro.

Zamknęła za nim drzwi i odetchnęła z ulgą.

- Teren czysty - zawołała po minucie.

Colin wyszedł z sypialni.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie ma za co. Nie nudziłem się. Szperałem w twoich rzeczach. -
Posłała mu wymowne spojrzenie. - A tak naprawdę podsłuchiwałem. Muszę przyznać, że wykazałaś się pomysłowością, kiedy zapytał, co robiłem w przedszkolu.

Opadła na sofę. Miała już dość.

- Pomyślałam, że to lepsze wytłumaczenie niż twój pomysł ze szklanką wody.

Colin usiadł obok niej w bezpiecznej odległości.

- Był bardzo podejrzliwy.

- Zawsze tak się zachowuje. Gdyby naprawdę podejrzewał, że tu jesteś, przeszukałby całe mieszkanie. Nie masz się czym martwić.

- Co za ulga.

Rowena spojrzała na zegarek.

- Dylan niedługo się obudzi.

- A więc to by było na tyle. - Colin pokiwał głową.

- Chyba tak. Posłuchaj... wiem, że to zabrzmie śmiesznie, ale chciałam ci podziękować. Nie tylko za chwilę erotycznej rozrywki, ale za coś więcej. Od tylu lat udaję kogoś innego, że zapomniałam, kim naprawdę jestem. Po tym, co między nami zaszło, zrozumiałam, że chcę być sobą. Od dawna planuję zmiany w życiu i teraz wreszcie czuję, że jestem na nie gotowa.

- Nie wiem, co takiego zrobiłem, ale cieszę się, że mogłem pomóc. Odprowadziła go do drzwi.

- Pewnie się jeszcze zobaczymy na terenie rezydencji.

- Pewnie tak.

Stanąła na palcach i pocałowała go w policzek, bo gdyby pocałowała go w usta, zatraciłaby się od razu. Otworzyła mu drzwi. I wyszedł, ot tak po prostu. Czasem nawet rozstanie bywa zwyczajne. Zresztą czego miała się spodziewać po dwóch dniach namiętnych pocałunków? Dla Colina to pewnie nic wielkiego.

Wzięła laptop i usiadła wygodnie na sofie. Od wieków nie czuła w sobie takiej odwagi i siły. Włączyła komputer, wybrała wyszukiwarke i wstukała w nią adres miejskiego oddziału służby zdrowia w Los Angeles.

Niniejszym zainaugurowała pierwszy dzień nowego życia.

W poniedziałek w przedszkolu powitano nowego podopiecznego. Matt był cudownym niebieskokookim sześciotygodniowym bobaskiem. Jego mamie właśnie skończył się urlop macierzyński. Nowe dzieci zawsze przyjmowano z wielkim entuzjazmem, a Matt okazał się prawdziwym aniołkiem. Ale tylko przez pierwszą godzinę. Potem się rozplakał i płakał non stop, nie licząc kilkuminutowych przerw. Opiekunki po kolei brały go na ręce, tuliły, kołysały, karmiły i odbijały, ale on za żadne skarby nie chciał się uspokoić.

Nie było w tym nic dziwnego. Pierwszego dnia w przedszkolu,

z dala od mamy, płakały prawie wszystkie dzieci. Rowena wierzyła, że następnego dnia będzie lepiej. Myliła się. Malucha nijak nie dało się pocieszyć i do popołudnia wszyscy mieli go serdecznie dość. W czasie ciszy poobiedniej Rowena zamknęła się z nim w gabinecie, by nie przeszkadzać młodszym dzieciom w drzemce, a starszym w odrabianiu lekcji.

Tricia zastukała do drzwi i zajrzała do gabinetu.

- Masz gościa.

Ojciec lubił składać niezapowiedziane wizyty.

- Niech wejdzie - westchnęła.

Kiedy drzwi się znów otworzyły, podniosła wzrok znad monitora. Pewnie przyszedł ją skontrolować.

- Colin? To ty? - Nie kryła zaskoczenia.

- Cześć. - Posłał jej krótki uśmiech, od którego rozpląnęła się. - Masz chwilę?

Przez ostatnie cztery dni próbowała o nim zapomnieć. Bezskutecznie.

- Ee... jasne - wydukała. - Zamknij drzwi.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Żeby Matt nie obudził dzieci.

- Aha. - Wszedł do środka. - Chciałem zapytać, jak się miewa Dylan? - Starał się przekrzyczeć płacz bobasa.

- Świetnie! Ciągle opowiada, jak go uratowałeś przed szpitalem.

- A ty jak się masz? - zapytał.

- Dobrze. - Zastanawiała się, czy ta wymiana zdań dla niego też brzmi sztucznie. Wolałaby, żeby Colin trzymał się od niej z daleka. Nie chciała być jednak nieuprzejma.

- A ty?

- Zrobiliśmy spore postępy w pracach nad traktatem. Choć jeszcze końca nie widać.

- Cieszę się, że wszystko dobrze się układa. - Im szybciej Colin

wróci do ojczyzny, tym lepiej dla niej. Będzie wiodła to swoje, pożał się Boże, życie. Póki co stać ją było tylko na tę marną egzystencję.

Matt przeraźliwie zakwilił. Colin się skrzywił.

- Co mu jest?

- Tęskni za mamą. Uspokoi się jutro albo pojutrze. Dyżurujemy przy nim na zmianę. - Przełożyła dziecko na drugą rękę. Rozległo się głośne beknięcie i coś ciepłego rozlało się na jej ramieniu. Chwilę później Matt znów darł się w niebogłosy.

- Prezencik od Matta - zauważył Colin.

- Dużo mu się ułało? - zapytała, wstając z fotela.

- Jak by to powiedzieć? Masz zapasową koszulkę?

Owszem, miała. Nawet kilka. Rozejrzała się, szukając odpowiedniego miejsca, gdzie mogłaby położyć na chwilę Matta.

- Potrzymam go, a ty się przebierz - zaproponował Colin i niezgrabnie wyciągnął rękę.

Ten facet w życiu nie poradzi sobie z rozhisteryzowanym niemowlakiem.

- Jesteś pewien? Bo mnie już bębenki w uszach pękają.

- Słyszałaś kiedyś wybuch mózdzierza? - zapytał retorycznie.

To ją przekonało. Podała mu dziecko, lekko muskając dłoń Colina. Niesamowite, jak zwykły gest może wyzwolić w kobiecie erupcję emocji.

Colin niezdarnie trzymał Matta na rękach, potem złapał go pewnym ruchem. Maluch załkał głośno, westchnął i nagle się uspokoił. Co, u licha?

- Co mu zrobiłaś? - zaniepokoiła się Rowena.

- Nie wiem. Oddycha?

Zerknęła na chłopca.

- Nic mu nie jest. Zasnął.

Najwyraźniej czknięcie przyniosło mu ulgę. Przecież nie magiczny dotyk Colina. Zresztą najważniejsze, że zadziało.

- Zaraz wracam. - Wyciągnęła koszulkę z szuflady i pobiegła do łazienki. Kiedy po kilku minutach wróciła do gabinetu, Matt wciąż spał.

- Dzięki.

W chwili, gdy wzięła go na ręce, znów zaczął płakać. Wiedziała, że to zbieg okoliczności, mimo to poprosiła Colina:

- Potrzyj go jeszcze trochę.

Colin przejął od niej Matta i płacz ustał. Rowena delikatnie wyjęła go z rąk Colina. Matt wybuchnął płaczem.

No dobra. To nie jest zbieg okoliczności.

- Chyba mnie lubi - zauważył Colin.

- Ja też.

- Co? - Uniósł brwi.

- Chodzi o to, że... - Roześmiała się i potrząsnęła głową. - Nieważne. Zazwyczaj dzieci wolą dotyk kobiety, ale niektóre lepiej reagują na mężczyzn.

- Zajmę się nim. Zwolnij opiekunki z dyżurów.

- Mówisz serio?

- Do kolacji jestem wolny.

- A jak przyjdzie mój ojciec?

- Kilka dni temu prosił mnie, żebym odwiedził Dylana.

- Czyli od dawna planujesz tę wizytę?

- Lubię być przygotowany.

- Do piątej muszę przesłać pracownikom pensje. Nie jesteś tu zatrudniony, więc nie powinnam się na to zgodzić, ale wątpię, żeby mama Matta miała coś przeciwko temu. - Kurczę, wystarczyłby jeden rzut oka na Colina tulącego do piersi Matta, a zmiękłaby na amen.

- Co mam robić? - zapytał, patrząc z niepokojem na dziecko. - Po prostu tak stać?

Nie chciała, by się teraz kręcił po gabinecie i przeszkadzał jej

w pracy. Nawet kiedy trzymał na rękach niemowlę, dosłownie buchało od niego testosteronem. Nie miałyby czym oddychać w tej klitce.

- Idź do sali zabaw.

- Dobrze. - Ostrożnie wyszedł z gabinetu.

Nasłuchiwała przez chwilę, czy Matt znów się nie rozpłacze, ale usłyszała tylko głosy innych dzieci, które powoli budziły się z drzemki i przygotowywały do podwieczorku.

Kiedy się uporała z robotą papierkową, od razu poszła do sali zabaw. Podliczenie pensji pracowników było zajęciem czasochłonnym. Nie zdziwiłaby się, gdyby Colin podrzucił Matta jednej z opiekunek, tymczasem siedział w fotelu bujanym, przytulając smacznie śpiące niemowlę. Jakby tego było mało, na kolanach Colina siedział Dylan i obejmował maleństwo. Colin czytał im cicho „Aksamitnego królika”.

Co za scena! Przez kilka minut przyglądała im się, powstrzymując łzy. Zalewała Dylana morzem miłości, ale wyrwa, którą zrobił jego ojciec, nigdy nie zniknie.

- Rozczulający obrazek, prawda? - Za jej plecami rozległ się szept Tricii.

Pokiwała głową, nie spuszczać z nich wzroku.

- Dylan uwielbia Colina, a Colin Dylana. Są jak kumple.

- Przestań! - zrugła ją Rowena.

- O co ci chodzi? - Tricia ostentacyjnie wzruszyła ramionami.

- Ten typ nie dąży do stabilizacji.

- Kiedyś się ustatkuje. Przynajmniej tak mówią statystyki. Może nawet z tobą.

- Nie mam zamiaru się z nikim wiązać. A nawet gdybym z nim była, nic by z tego nie wyszło. Colin mieszka w Anglii, a lekarze Dylana w Kalifornii.

- O czym tam szepczecie, dziewczyny? - zainteresował się Colin.

- O pracy - odparła Tricia.

Colin patrzył na nie z niedowierzaniem.

- Mama! - zawołał Dylan. - Kołin mi cyta.

- W dzieciństwie to była moja ulubiona lektura - wyjaśnił Colin. - Wieki tego nie czytałem.

- Zabiorę Matta. Pora karmienia. - Rowena wzięła Matta na ręce, w tej samej chwili dziecko obudziło się z płaczem. Próbowwała podać mu butelkę, ale z niechęcią wypływał smoczek. Zmieniła mu pieluszkę, choć była prawie sucha. Wtedy Matt zaczął płakać jeszcze bardziej, a potem niemal histerycznie zawodzić. Rowena poddała się i wróciła do sali zabaw.

- Mały Matt płacze - powiedział Dylan.

- Tak, kochanie. Matt jest bardzo smutny.

- I co? Nie udało się? - zakpił Colin.

- Potrzywasz go chwilę?

- Jasne.

Kiedy Matt znalazł się w rękach Colina, natychmiast się uspokoił, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Rowena roześmiała się, odrzucając do tyłu głowę. Czy to rzeczywiście zbieg okoliczności?

- Mama odbierze go koło szóstej. Posiedzisz z nami pół godziny?

- Pod warunkiem, że przyniesiesz nam jeszcze kilka książek.

Tyle mogła dla nich zrobić.

- Dzięki - powiedział, gdy wróciła.

- Kołin cyta - niecierpliwił się Dylan. - Plose!

- Chwileczkę, stary. - Colin zwrócił się do Roweny. - Senator dziś wyjeżdża do północnej Kalifornii.

O nie! Tylko nie to!

- Nie wspominał mi o tym - odparła z udawanym spokojem.

- Wróci jutro późnym rankiem.

Dlaczego on jej to robi?

- Zapowiada się miły wieczór - dodał. - W sam raz na pływanie.

To nie był dobry pomysł. Co wieczór przychodziła na basen, co wieczór marzyła, że spotka Colina, lecz nigdy tak się nie stało. Mimo to z każdym dniem pragnęła go coraz bardziej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez cały wieczór zastanawiała się, czy pójść na basen. Z jednej strony nie chciała wystawiać się na pokusę, ale z drugiej wieczorne pływanie było dla niej rytuałem i nie chciała z niego rezygnować. Przecież gdy zjawi się Colin, zawsze może mu powiedzieć „nie”.

Gdy o dziewiątej przyszła Betty, by popilnować Dylana, Rowena ruszyła w stronę basenu, powtarzając sobie w duchu, że tym razem nie ulegnie Colinowi i że ich znajomość pozostanie wyłącznie platoniczna. Jakież było jej rozczarowanie, kiedy spostrzegła, że leżak, na którym odpoczywał, był pusty. Colin najwyraźniej przemyślał sobie wszystko i doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli...

Prawie podskoczyła ze strachu, gdy czyjeś ręce objęły ją w biodrach. Stał tak blisko niej, że czuła na skórze jego oddech.

- Tym razem nie wrzuciłaś mnie do wody.

I to był jej błąd.

- Colin...

- Nikt nie widział, jak wychodziłem - przerwał jej.

- Uważasz, że dopóki nikt nas nie nakryje, wszystko jest w porządku?

- Podaj choć jeden powód, dla którego nie mielibyśmy tego zrobić? No spróbuj.

Otworzyła usta, by wyrzucić z siebie całą litanię powodów. I zamilkła.

- Widzisz? Nie umiesz.

Z niechęcią przyznawała mu rację.

- To będzie nasz ostatni raz - stanęła do niego przodem - nawet gdyby ojciec wyjechał do Afryki na miesięczne safari. Dzisiejszy wieczór i koniec.

- W takim razie nie tracimy czasu. - Wziął ją za rękę i poprowadził do letniego domku. Rowena otworzyła drzwi, ale nie zapaliła światła. Po ciemku poszła do kuchni, gdzie na wypadek awarii prądu przechowywano zapas świec i zapalek. Ostre światło lampy mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę, ale nikt nie zauważył poświaty bijącej od świecy. A do tego jak romantycznie!

Zapaliła świecę i postawiła na stoliku. Z szafki wyjęła prześcieradła oraz koce i rozłożyła je na podłodze.

- Kanapa się nie rozkłada? - zapytał, wskazując na stojący pod ścianą mebel.

- Rozkłada, ale jest okropnie niewygodna.

- O, widzę, że ćwiczyliśmy już ten temat wcześniej. - Na jego ustach błędził uśmiezek.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Moi przyjaciele nazwali to miejsce grotą miłości.

Colin, ubrany na czarno, wyglądał seksownie w bladym świetle świec. Może nawet odrobinę groźnie. Zdjął buty i powoli rozpinał koszulę, wędrując wzrokiem po jej ciele.

- Jaką bajeczkę wymyśliłaś na dziś?

- Obiecuj, że nie będziesz się śmiał. - Uniósł brwi. - Miałam zamiar ci oświadczyć, że nie zrobimy tego więcej i wrócić do domu. Na wszelki wypadek przygotowałam też plan rezerwowy.

- Czyli...?

- Nie gadać, tylko od razu przejść do rzeczy. - Zdjęła jedwabny szlafrok. Colin mruknął z zachwytem, widząc, co miała pod spodem, czy też, ściślej rzecz ujmując, czego nie miała.

- To jest odpowiedź na moje następne pytanie - szepnął.

- Czyli...?

- Jak daleko posuniemy się tym razem?

- Idziemy na całość.

Nie odrywał wzroku od jej krągłości.

- Masz boskie ciało.
- Trochę mnie przybyło po urodzeniu Dylana.
- Lubię kobiece kształty. - Pomasował jedną jej pierś, potem drugą. - Lubię, kiedy kobieta wygląda jak kobieta, a nie młodzieniaszek.

Świetnie się składało, bo gdyby wolał młodzieniaszków, mieliby teraz problem. Zdjął koszulę i rzucił ją na kanapę. Rowena gładziła jego tors i ramiona. Zapomniała o bliznach. Dopiero gdy poczuła pod palcami nierówno zrosniętą skórę, cofnęła rękę.

- Boli? - zapytała.
- Nie. To przyjemne. - Pokręcił głową.
- A tu też? - Wsunęła rękę pod pasek jego spodni, wyraźnie wyczuwając jego podniecenie.

Colin przymknął powieki.

- Tu też.

Zdjął spodnie i pochylił głowę, by ssać jej sutki. Od tak dawna nikt jej nie dotykał, że mógłby ją cmoknąć w pępek i byłoby to równie erotyczne doznanie. Jednak to, co teraz robił, było o niebo lepsze. Potem przed nią uklęknął i całował jej brzuch, przesuwając się coraz niżej... Wstrzymała oddech. Z doświadczenia wiedziała, że niewielu facetów lubi fundować kobiecie seks oralny i zaledwie garstka zna się na rzeczy. Jednak kiedy role się odwracają, nie było mężczyzny, który powiedziałby: „Nie, dziękuję, daruję sobie tym razem”. Kiedy Colin rozsunął jej uda, miała ochotę krzyknąć: „Tak! Tak!” I może by to zrobiła, gdyby nagle nie znalazła się pod nim, leżąc na wznak na grubym kocu. To jej szczęśliwy dzień, bo okazało się, że Colin jako kochanek był naprawdę dobry.

Za dobry... Rozkosz zakradała się jak drapieżnik polujący na bezbronną ofiarę. Potem uderzyła, nagle i gwałtownie, niemal pozbawiając ją przytomności. Gdy Rowena otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą uśmiechniętą twarz Colina.

- Zawsze tak szybko szczytujesz? - zapytał.
- Dawno z nikim nie byłam - wydyszała. - Nie licząc siebie.
- W takim razie przekonam cię, że warto było czekać.
- To akurat wiedziałam od pierwszego pocałunku.
- Gdzie trzymasz prezerwatywy?
- Gdzie ja je trzymam? To chyba żart.
- Wyglądam, jakbym żartował?
- Colin, w Stanach Zjednoczonych ten obowiązek spoczywa na barkach mężczyzny.

- W moim kraju to kobieta troszczy się o antykoncepcję - wyjaśnił zmieszany.

- Poważnie?

- Nie do końca. - Próbował powstrzymać uśmiech.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął paczuszkę.

- To nie było śmieszne - prychnęła.

- Owszem, było. - Roześmiał się. - Żałuj, że nie widziałaś swojej miny.

Gdyby nie była taka osłabiona rozkoszą, ten żart źle by się dla niego skończył. Teraz tylko pchnęła go mocno. Upadł na plecy, a ona na nim usiadła.

- Zemszczę się w najmniej oczekiwanym momencie. - Nawet jeśli się przestraszył, nie dał tego po sobie poznać.

- Chodź do mnie. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nagle ziemia zakołysała się i Rowena znów znalazła się pod nim. Próbowała się wyrwać, ale on złapał jej nadgarstki i mocno przycisnął do podłogi nad jej głową. - Dokąd się wybierasz?

Lubił kontrolować sytuację. Problem w tym, że ona też.

- Wolę być na górze. - Stękała, usiłując wyrwać ręce z uścisku.

- Ja też. - Ani odrobinę go nie rozluźnił.

Szarpali się, walcząc o to, kto będzie górą, a po chwili już urządzili zapasy, bynajmniej nie stroniąc od niedozwolonych

chwytów: tu ktoś ugryzł, tam uszczypnął. A ponieważ żadne nie zamierzało się poddać, w końcu poszli na kompromis i kochali się na stojąco w kuchni. On przyparł ją plecami do chłodnych drzwi lodówki, a ona zacisnęła nogi wokół jego bioder. Wchodził w nią i wychodził w miarowym rytmie, a stare magnesy upadły na wyblakłe linoleum. I choć Colin radził sobie świetnie bez pomocy, nie mogła się powstrzymać od wskazówek w stylu: „pocałuj tu” albo „nie, teraz tam!”, „szybciej” i zaraz potem „wolniej”. Robili to tak długo, aż wreszcie otepiała z rozkoszy i wyłączywszy mózg, oddała pole instynktowi.

- Cholera - wyszeptał Colin, opierając głowę na jej ramieniu. - Ale z ciebie domina.

- Ja? Domina? No wiesz! - Po krótkim namyśle przyznała: - Może odrobinę.

- Lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą.

Dobrze się składa, bo...

- Może udałoby się to powtórzyć?

Popatrzył na nią rozbawiony.

- Udałoby się? Skąd ten brak wiary we mnie? Dopiero się rozgrzałem - odparł z rozbajającym uśmiechem. - Może tym razem pozwolę ci być na górze.

Nazajutrz wieczorem jak zwykle przygotowywała się do wyjścia na basen. Nie było jeszcze Betty, kiedy zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer Cary. Śledztwo w sprawie Angeliki Pierce wyleciało Rowenie z głowy.

- Zarezerwuj sobie ostatni tydzień marca. Jedziesz do Waszyngtonu - usłyszała w słuchawce głos Cary.

- Ja?

- No chyba będziesz na moim ślubie!

- Ustaliliście datę! Gratulacje! Oczywiście, że będę.

- Uff! Bałam się, że odmówisz. - Cara się ucieszyła. - Ceremonia będzie skromna, ale mam nadzieję, że przyjedziesz z osobą towarzyszącą.

Rowena natychmiast pomyślała o Colinie. Ech, równie dobrze mogłaby zażyczyć sobie gwiazdki z nieba. Spędzili razem noc i to by było na tyle. Mimo obietnic znów nie pozwolił jej być na górze. Będzie tego żałowała chyba do końca życia.

- Jest ktoś taki - przyznała.

- Serio? - zainteresowała się Cara. - Kto?

- Przeuroczy facet. Naturalnie kręcone rude włosy, orzechowe oczy, jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu...

Cara wybuchnęła śmiechem.

- Szczerze mówiąc, myślałam o kimś trochę starszym, ale będzie cudownie, jeśli przyjedziesz z Dylanem. Aha! Pamiętam o Angelice, ale tyle się teraz dzieje, że nie miałam czasu zasięgnąć języka.

- Nie przejmuj się. Ja też byłam zajęta.

- Media zaszczuły Ariellę. Zaszyła się gdzieś w jakiejś pustelni, a Eleanor chyba zapadła się pod ziemię. Nikt nie wie, co się z nią stało.

Rowena współczuła Arielli. Nie znała jej dobrze, ale pamiętała, że robiła wrażenie sympatycznej dziewczyny. Przyjaciółki plotkowały do przyjścia Betty.

- Chyba do ciebie. - Gospośia podała jej białą kopertę. - Ktoś to przylepił do drzwi.

Rowena niecierpliwie rozdarła kopertę. W środku znalazła złożoną na pół kartkę, na której widniały dwa słowa: Letni domek.

Przecież to miała być ich pierwsza i ostatnia noc! Wołała nie ryzykować kolejnej. Ktoś mógłby ich przyłapać!

Szła w kierunku basenu, powtarzając w głowie ostateczny plan pozbycia się kochanka.

W letnim domku było ciemno. Rowena pchnęła uchylone drzwi

i weszła do środka. Na stoliku paliła się świeca, na podłodze na rozłożonym kocu siedział Colin. Miał na sobie wytarte dżinsy i nic więcej. Otworzyła usta, by wygłosić starannie przemyślaną przemowę, ale w głowie miała pustkę.

- Zjadłem kolację z twoim ojcem - odezwał się Colin.

- Och, jestem wzruszona! - powiedziała zgryźliwie.

- Nie czuł się dobrze. Narzekał na migrenę. Wziął tabletki i poszedł spać. Nie ma szans, żeby się obudził i przyszedł sprawdzić, co się dzieje w letnim domku.

Nie. Po tabletkach ojciec spał jak zabity.

- Inaczej się umawialiśmy - upierała się, ale nogi ją same poniosły na koc.

- Dlaczego nie mielibyśmy spędzić razem jeszcze jednego wieczoru?

- Ryzykujemy, przeciągając tę sprawę.

- Dlatego jest to takie podniecające. - Posłał jej ten swój zawadiacki uśmiech i było po niej.

- No dobra. Ale to już naprawdę będzie ostatni raz - oznajmiła i zdjęła kostium. - I pod jednym warunkiem.

- No?

- Teraz ja jestem na górze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

I tak dwie noce zamieniły się w trzy, a trzy w cztery, aż w końcu przyznali, że łączy ich prawdziwy romans. Postanowili, że zakończą go wraz z wyjazdem Colina do Anglii. Colin miał jednak pewne wątpliwości.

Nie interesował go wprawdzie stały związek ani tym bardziej małżeństwo, jednak problem polegał na tym, że sam nie wiedział, czego chce. Rowena była inna niż rozpieszczone arystokratki, z którymi się spotykał. Niby akceptowały jego potrzebę niezależności, ale potem próbowały trzymać go pod pantoflem. Rowena była kobietą po przejściach i nie miała potrzeby usidlenia faceta. Była seksowna i wyzwolona. Inteligentna i zabawna. Nie trajkotała na okrągło o Dylanie, a kiedy ją o niego pytał, jej odpowiedzi były krótkie i wyczerpujące, jakby chciała podkreślić, że ich romans i jej relacja z synem to dwie oddzielne sprawy.

Teraz jednak wolał nie zaprzętać sobie tym głowy, zwłaszcza że nadchodził weekend. Senator wyjeżdżał do Waszyngtonu na ważne głosowanie. Spodziewając się obstrukcji parlamentarnych, zapowiadał, że wróci dopiero we wtorek wieczorem.

Colin miał nadzieję, że Rowena wprowadzi się na ten czas do niego. Albo on do niej. Znudziła mu się zimna podłoga w domku przy basenie.

- A co powiem Betty? - Rowena nie była przekonana do jego pomysłu. - Co wieczór zajmuje się Dylaniem.

- Powiedz jej, że nadwerężyłaś sobie ramię i chcesz odpocząć od pływania. Albo nie idź na basen, tylko do mnie. Ja przyszedłbym do ciebie po wyjściu Betty i wróciłbym do siebie o świcie.

- Chcesz spać u mnie całą noc?

- A kto mówi o spaniu?

Zawsze mu się wydawało, że kobiety to uwielbiają. Tyle razy zamęczały go, by został do rana. Tymczasem Rowena potraktowała na ten pomysł sceptycznie.

- Zastanawiam się, dlaczego ojciec tak bardzo się upiera, żebyś się trzymał ode mnie z daleka - dziwiła się. - Zawsze chciał, żebym poślubiła bogatego szlachcica z koneksjami w polityce. Ty to masz, byłbyś wymarzonym zięciem.

- Uważa mnie za kobieciarza.

- A jesteś kobieciarzem?

- Jasne, że nie - prychnął.

- Na pewno?

- Na pewno - odparł. Jest przecież dżentelmenem i traktuje kobiety z szacunkiem. - Nawet nie wiem, co to znaczy. Ja? Kobieciarz?

Jakie to nieeleganckie! Ten problem go nie dotyczył ani tym bardziej nie obchodził!

- Sprawdźmy. - Wzięła do ręki telefon. - Tak dla zabawy... - Wystukała coś na ekranie. - Mam! Według słownika „kobieciarz” to mężczyzna, który angażuje się w liczne niezobowiązujące związki seksualne z kobietami. - Spojrzała na niego. - I jak? Pasuje?

- To niemożliwe.

- Mój telefon mówi co innego.

Wyciągnął rękę.

- Pokaż. - Przeczytał definicję na ekranie i zaklął.

- Prawda bywa bolesna. - Rowena pokiwała głową.

- W życiu nie powiedziałbym, że jestem kobieciarzem. Kocham kobiety. Szanuję je.

- Tak, tak. Wszystkie po kolei. - Wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie przespałem się kobietą, nie uprzedziwszy jej, że interesuje mnie seks bez zobowiązań.

- I uważasz, że to załatwia sprawę?

- Jestem dżentelmenem. Rozpieszczam kobiety.
 - Kupujesz je.
 - Nie to powiedziałem. - Rowena przeinacza jego słowa.
 - Dlaczego uważasz, że jesteś taki wyjątkowy?
 - Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek tak twierdził.
 - Zróbmy eksperyment myślowy. Postawmy na twoim miejscu kobietę. Często się umawia na randki, sypia z różnymi facetami, rozpieszcza ich i nie chce zobowiązań. Kim się wtedy staje?
 - Kobietą idealną.
 - Staje się dziwką, Colin. Dlaczego mężczyznom takie samo zachowanie uchodzi na sucho?
- Niechętnie przyznawał jej rację.
- Rozumiem aluzję. Tak naprawdę jestem dziwkarzem.
 - Witamy w klubie! - zawołała, a Colin wybuchnął śmiechem. - Mam pomysł - ciągnęła. - Jeśli ktoś nas przyłapie, powiem ojcu, że to moja wina. Że cię molestowałam i choć się dzielnie opierałeś, w końcu uległeś moim wdziękom.
 - Ty naprawdę masz problem z tą potrzebą dominowania nad ludźmi. - Choć wcale na to nie narzekał. Dzięki temu ich romans nabierał pikanterii. Colin nie mógł się doczekać, kiedy namiętna kochanka skuje go kajdankami albo zwiąże jedwabnym szalikiem.
 - Ojciec ma o mnie jak najgorszą opinię. Nie da się jej bardziej popsuć. Mam nieślubne dziecko. Dla niego pozostanę dziwką do końca moich dni.
 - Na pewno tak nie myśli. Chce cię chronić.
 - Mnie? Chyba siebie. Woli, żebyś się wokół mnie nie kręcił, bo uważa mnie za taką samą degeneratkę, jaką byłam przed urodzeniem Dylana. Boi się, że przyniosę mu wstyd albo że cię zbałamucę i splamię twoje dobre imię.
 - To śmieszne. Umiem się o siebie zatroszczyć.
 - Sam mu to powiedz. - Wstała i podniosła z podłogi kostium

kąpielowy.

- Dokąd idziesz?

- Robi się późno.

- Zostało nam jeszcze dwadzieścia minut. - Spojrzał na wyświetlacz w telefonie. - Porozmawiajmy.

- Jestem zmęczona. - Ubrała się i pocałowała go, ale nie długo i namiętnie, tylko lekko musnęła w policzek. - Przecież mamy dla siebie cały weekend.

- Powiedziałem coś nie tak? - Wstał, obwiązując koc wokół bioder i odprowadził ją do drzwi.

- Ależ skąd! - Uśmiechnęła się do niego obojętnie. - Zadzwoń do mnie jutro.

- Na pewno wszystko w porządku?

- W idealnym - zapewniła, lecz jej nie uwierzył.

Co się dzieje z Colinem? Zrobił się taki uczuciowy. To miał być seks, a jemu zebrało się na pogaduszki? Co za pomysł? Przez ostatnie dni próbowała sobie wmówić, że Colin wcale nie jest taki wspaniały, jak się wydaje. Nie chciała przez niego cierpieć. Jeśli zaczyna coś do niej czuć i nie zdaje sobie z tego sprawy, ktoś musi go oświecić.

Gdy wróciła do mieszkania, Betty oglądała telewizję.

- Jak się pływało? - zapytała.

- Świetnie. Jak Dylan?

- Śpi jak suseł.

Betty zegnała się od razu po powrocie Roweny, dziś jednak nie ruszyła się z kanapy. Rowena, zupełnie wyczerpana, opadła na sofę i oparła głowę na jej ramieniu, wciągając znajomy zapach kwiatowych perfum.

- Wiesz, co mnie dziwi? - zagadnęła gospościa.

- No?

- Że od czterech dni pływasz przez półtorej godziny, nie mocząc włosów. Nawet nie pachniesz chlorem.

Cholera! Że też nie przyszło jej do głowy, by dać choćby jednego nura do wody przed powrotem do domu.

- Nie przejmuj się. - Betty poklepała ją po kolanie. - I tak bym się domyśliła, że coś jest na rzeczy. Ostatnio jesteś taka szczęśliwa!

- Jestem szczęśliwa? - Drgnęła.

- Od lat cię takiej nie widziałam.

- Nawet po urodzeniu Dylana?

- Wtedy też byłaś szczęśliwa, ale inaczej. Ostatnio rozkwitasz. To musi być miłość.

- Betty, jeśli tata się dowie...

- Skarbie, ode mnie się nie dowie, a jeśli chodzi o resztę personelu, to nie uwierzyłabyś, ilu z nich przeszło do twojego obozu w ciągu ostatnich dwóch lat. Jak ktoś puści parę z ust, będzie miał ze mną do czynienia.

- Dzięki. A jeśli chodzi o to moje szczęście, to miłość nie ma z tym nic wspólnego. To luźny związek.

- Skoro tak mówisz.

- Tak mówię.

- Co w tym złego, żeby człowiek pozwolił sobie na odrobinę szczęścia? - głośno zastanawiała się Betty.

Złego? Za szczęście trzeba płacić. Najczęściej bólem i rozczarowaniem.

Colin odprowadził wzrokiem odjeżdżającą limuzynę senatora, a potem ruszył w stronę przedszkola, dźwigając pod pachą pudło z książkami dla dzieci. Wysłała mu je siostra i teraz zamierzał przekazać je do przedszkolnej biblioteczki. To była świetna wymówka, by się zobaczyć z Roweną. Był pewien, że wczoraj coś poszło nie po jej myśli i chciał się dowiedzieć co. Nacisnął dzwonek

przy bramie i po chwili zobaczył Tricię.

- Dzień dobry! - zawołała i wpuściła go na podwórko.

W piaskownicy Dylan bawił się ze swoją rówieśnicą.

- Rowena jest w gabinecie? - zapytał Tricię.

- W domu. Źle się czuje. Ma grypę. Przy dzieciach zawsze się coś podłapie. Przysięgam, że spędziłam dziewięćdziesiąt procent życia na walce z katarem.

- Kolin! - Uradowany Dylan niezgrabnie pokuśtykał w jego stronę, starając się powstrzymać od biegu.

- Cześć, kolego! - przywitał się Colin.

Dylan przylgnął do jego kolan, potem zmarszczył brwi i powiedział:

- Mama chola.

- Wiem. Sprawdzić, co u niej?

Chłopcy zaświeciły się oczy z radości.

- Ja tes! Ja tes!

- Nie ma mowy! - zaprotestowała Tricia. - Mama chce, żebyś tu ze mną został.

Chłopczyk wykrzywił buzię w podkówkę.

- Ale jak ładnie poprosisz, Colin da mamie buziaka od ciebie. - Uśmiechnęła się i wzięła go na rękę.

- Buzi mamusi! - zawołał Dylan.

- Mam dać jej buzi? - przeraził się Colin. - Nie wiesz, że dziewczynki gryzą?!

- Ale nie mamusie. - Dylan zachichotał.

Dziewczynka, która bawiła się w piaskownicy, zawołała Dylana. Chłopczyk wyrwał się z objęć Tricii i pokuśtykał do koleżanki.

- Boisz się, że dziewczynki gryzą? Chyba jesteś za stary na te głupoty - rzekła Tricia. - Zresztą pewnie zdążyłeś się przekonać, że Rowena nie gryzie. Na tym waszym basenie. Nie martw się, nie pisnę ani słówka.

Colin odchrząknął.

- To dla przedszkola. - Podał jej pudło z książkami. - Kilka starych książek. Może się spodobać dzieciakom.

- Dzięki, Colin. Zamówiłeś je aż z Anglii? - Przeczytała adres na pudle.

- Tak. To moje prywatne książki.

- Jak miło! Na pewno nie chcesz ich zatrzymać dla własnych dzieci?

- Na pewno. - Nie wiedział, czy w ogóle będzie miał dzieci. Rodzina oznacza stabilizację, do której go wcale nie ciągnęło. - Muszę już iść. Miłej lektury.

Kiedy dochodził do bramy, Tricia zawołała:

- Hej, Colin. Rowena udaje twardą, ale jest bardzo wrażliwa.

- Wiem. - Już dawno to zauważył.

- Jeśli ją zranisz, dopadnę cię i skopię ci ten twój królewski zadek.

Nie chciało mu się tłumaczyć, że ludzie przecież nie zakochują się po to, by się nawzajem krzywdzić, choć bardzo często tak się dzieje.

Poszedł do rezydencji. W holu natknął się na Betty.

- Pewnie się nie wybierasz na górę? - zagała.

- Właśnie tam szedłem.

- Mam prośbę. Nie wiem, czy słyszałeś już, że Rowena źle się czuje. Czy mógłbyś to jej przekazać? - zapytała, wkładając mu w ręce stos pościeli. - Przy takiej pogodzie reumatyzm daje mi się we znaki. Chodzenie po tych schodach jest ponad moje siły. Nie gniewasz się?

- Ależ skąd, ale czy ona nie zaprotestuje?

- Chyba oboje znamy odpowiedź. - Mrugnęła do niego znacząco.

- Widzę, że Rowena powiedziała ci...

- Nie musiała. - Betty poklepała go po ramieniu.

- Dzięki. - Uśmiechnął się do niej. Zagwarantowała mu świetny pretekst do spotkania z Roweną.

- Przekaż jej, że jak będzie czegoś potrzebować, niech woła.

Colin wszedł na górę i zapukał do drzwi. W odpowiedzi usłyszał jakiś bełkot, który postanowił wziąć za zaproszenie. Rowena, zwinięta w kłębek i okryta kocem, leżała na kanapie przed telewizorem. Miała zamknięte oczy. Była blada jak kreda.

- Słyszałem, że jesteś chora?

Zamrugnęła i otworzyła oczy. Gdy wreszcie zauważyła Colina, naciągnęła koc na głowę i wymamrotała:

- Co ty tutaj robisz?

- Tricia mówiła, że jesteś chora, a Betty prosiła, żebym ci zaniósł czystą pościel. Jak się czujesz?

- Beznadziejnie. I tak też wyglądam.

- Dzwoniłaś po lekarza?

- To na pewno ta przeklęta grypa, co zmogła połowę przedszkola. Przejdzie mi za dwa dni. Nie powinieneś tu wchodzić, bo się zarazisz.

Przysiadł na brzegu kanapy.

- Ostatnio spędziliśmy razem tyle czasu, że już zdążyłbym się zarazić. Mierzyłaś temperaturę?

Potrząsnęła głową.

- Co cię boli?

- Mięśnie. Głowa mi zaraz eksploduje. Na szczęście ibuprofen zbija gorączkę.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie zwracaj sobie głowy. Betty dba o mnie jak o własną córkę.

- Pijesz dużo wody?

- Rano trochę wypiałam.

- Musisz dużo pić, żeby się nie odwodnić. Jadłaś coś?

- Kolację. Potem już nic.

- Kiedy w dzieciństwie chorowałem, moja siostra, Matilda, zawsze gotowała mi rosół z kury. - Po namyśle dodał: - To znaczy prosiła

kucharkę, żeby ugotowała. Ale Matilda zawsze pilnowała, żebym go zjadł, a potem czytała mi tak długo, aż zasnąłem.

- Dlaczego akurat siostra?

- Matti jest dwadzieścia lat ode mnie starsza, to ona mnie wychowywała.

- A rodzice?

- Kiedy się urodziłem, moja matka miała czterdzieści siedem lat, a ojcu stuknęła sześćdziesiątka. Zaliczyli wpadkę. Żadne z nich nie miało ochoty od nowa użerać się z dzieckiem, zwłaszcza tak wymagającym i nad wiek rozwiniętym jak ja.

- Hm. Wymagający i nad wiek rozwinięty. W życiu bym się nie domyśliła.

- Miałem swoisty talent do podkładania ognia.

- Serio? - Otworzyła przekrwione od gorączki oczy.

Rozejrzał się konspiracyjnie.

- Masz porządne ubezpieczenie? - Uśmiechnęła się lekko. - Zakończyłem karierę szalonego podpalacza, kiedy w internacie puściłem z dymem męską toaletę. Powiem tylko, że kara była nieadekwatna do zbrodni.

- Staraleś się zwrócić na siebie uwagę.

- Chyba tak.

- Siostra ma rodzinę?

- Wyszła za mąż bardzo młodo, jeszcze zanim się urodziłem. Jej mąż zaraz po ślubie zachorował i zmarł. Siostra była wtedy w ciąży. Straciła dziecko. Nie wyszła drugi raz za mąż ani nie miała dzieci.

- Smutna historia.

- Udawałem przed kolegami, że rodzice są moimi dziadkami, a siostra moją mamą. Kochała mnie jak własne dziecko. Do dziś próbuje mi matkować.

- A może jest twoją prawdziwą matką?

- Nie ma takiej szansy. - Roześmiał się, potrząsając głową. - To

było tylko niemądre marzenie nieszczęśliwego dzieciaka.

- Twoi rodzice żyją?

- Ojciec zmarł, kiedy byłem na studiach. Matka żyje i mieszka z siostrą. Jest chora.

- Często ją odwiedzasz?

- Może dwa razy do roku.

- Tylko?

- Matty zamęcza mnie, żebym je częściej odwiedzał, ale między mną a matką nie ma prawdziwej więzi.

- Żałuję, że my z ojcem nie widzimy się dwa razy do roku - westchnęła. - Och, nie! - jęknęła. - Przecież to miał być nasz weekend. Wszystko popsułam.

- Nie przejmuj się, będą inne weekendy. Może jutro poczujesz się lepiej?

- Oby.

- Nie byłoby ci wygodniej w łóżku? - zapytał.

- Dylan wylał sok na pościel. Próbował mi przynieść śniadanie do łóżka.

- W takim razie zmienię pościel i przeniosę cię do łóżka.

- Colin, nie musisz tego robić.

- Wiem, że nie muszę, ale chcę. - Poszedł do sypialni. Różowawe plamy po soku grejpfrutowym upstrzyły łóżko i kawałek dywanu. Colin zdjął starą pościel, pachnącą jej ciałem. Rowena wydała mu się bliska. Znał jej smak i ciało. Wiedział, jak jej dotykać, jak całować, pieścić i doprowadzić zmysły do szaleństwa, by błagała o litość. Seks z nią przynosił mu nie tylko spełnienie, ale też radość. Nie domagała się, by traktował ją jak księżniczkę ani nie oczekiwała naiwnych deklaracji miłości. Nie rozmawiali o seksie. Po prostu się kochali.

Potem zaprowadził ją do sypialni i położył do łóżka.

- Teraz przekonajmy się, czy pamiętam, jak to się robi.

- Co? - zapytała zmieszana.

- Układa do snu. Najpierw musisz się położyć. Teraz kołderka, prawda? - Naciągnął kołdrę aż po podbródek. - Ciepło ci? - zapytał, starannie nakrywając ramiona.

Pokiwała głową.

- Chyba o czymś zapomniałem...

- O czym? - Zawstydziała się.

- O! Przypomniałem sobie. - Odcisnął na jej czole buziaka. - Teraz muszę wyjść, ale za dwie godziny wrócę. - Do zobaczenia. - Znów pocałował ją w czoło.

- Colin. Nie musisz.

Nie, nie musiał, ale o dziwo chciał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zapadła w głęboki sen. Obudziła się zdezorientowana, bo na zewnątrz było zupełnie jasno, a przecież co dzień wstawała bladym świtem. Bez szkieł kontaktowych nie widziała, która godzina. Chciała wstać, ale ostry ból mięśni przypomniawszy jej o chorobie. Na nocnym stoliku stała szklanka wody i opakowanie leków przeciwgorączkowych. Zażyła je. Zakręciło się jej w głowie. Zamknęła oczy i musiała znów zasnąć, bo kiedy je ponownie otworzyła, w pokoju panowała ciemność.

Która godzina? Kto się zajmuje Dylanem? Podniosła się gwałtownie z łóżka. Wciąż dokuczały jej zawroty głowy.

- Colin? - zawołała. - Betty? Jest tu kto?

Chwilę później w drzwiach stanął Colin.

- Wreszcie się obudziłaś.

- Jak długo spałam? Już wieczór?

- Dziewięta trzydzieści. - Zapalił nocną lampkę.

- Wieczorem? - Zasłoniła oczy przed ostrym światłem. Nigdy dotąd nie spała tak długo, mimo to czuła się parszywie. - Gdzie Dylan? Muszę mu zrobić kolację.

- Już dawno jedliśmy. Dylan śpi.

- Jedliście razem kolację?

- Betty upiekła nam zapiekankę z kurczaka. Ta kobieta to prawdziwy geniusz kuchni.

- Pójdę do niego. - Próbowała wstać, ale z ledwością oparła się na łokciach. Miała wrażenie, jakby ktoś nakrył ją ołowianym kocem.

- Spokojnie - powiedział Colin. - Co piętnaście minut sprawdzam, czy śpi.

- Musi wziąć lekarstwa...

- Betty pokazała mi listę - wyjaśnił.

- Betty wie, że tu jesteś?

- Ona chyba wie wszystko. Rozmawiałaś z nią o nas?

- Tak. Nie martw się. Nie wyda nas. - Rowena opadła bez sił na łóżko. - Przepraszam, że obarczyłam cię moimi obowiązkami.

- Daj spokój. Dylan jest cudownym dzieciakiem.

Wolała, by ten cudowny dzieciak nie przywiązywał się do mężczyzny, który niedługo zniknie z jej życia.

- Jesteś głodna?

Pokręciła głową.

- Daj mi ibuprofen albo pistolet. I poproś do mnie Betty. Muszę ją zapytać, czy zostanie na noc. Jeśli Dylan się obudzi, nie będę w stanie mu pomóc.

- Sama to zaproponowała, ale powiedziałem, że nie ma takiej potrzeby.

- Dlaczego?

- Bo ja zostanę na noc.

- Colin, naprawdę nie musisz tego robić.

- Masz rację, nie muszę. Ale chcę.

Tylko po co? Po co ryzykuje? Przecież to miał być tylko seks. Po co się o nią troszczy? Opiekuje jej synem? W ten sposób rozbudza jej uczucia, a to pogarsza sprawę.

- Śpij. - Pocałował ją w czoło. - Jutro będzie lepiej.

Chciała zaprotestować i poprosić go, by wrócił do siebie, ale zabrakło jej sił. Przyłożyła głowę do poduszki i od razu zasnęła.

Nad ranem obudziły ją odgłosy porannej krzątaniny i chichot Dylana. Usiadła i z ulgą odkryła, że nic ją nie boli. Aromat świeżo parzonej kawy skłonił ją do wstania z łóżka. Poszła do łazienki. Przestraszyła się, kiedy zobaczyła się w lustrze. Matowe i splątane włosy wyglądały jak dredy. Nie ma mowy, by Colin zobaczył ją w takim stanie.

Prysznic, potem kawa.

Wstał wczesnym rankiem, kiedy Rowena jeszcze spała. Ubrał i nakarmił Dylana, podał mu leki, posadził przed telewizorem i włączył bajkę. Gdy znów zajrzał do sypialni, łóżko było puste, a z łazienki dobiegał szum wody. Dobry znak. Skoro ma siłę wziąć prysznic, to pewnie wyzdrowiała.

Wrócił do kuchni, włożył naczynia do zmywarki i przetarł blat. Po chwili zjawiała się Rowena. Miała na sobie flanelowe spodnie od piżamy i bluzę z logo Lakersów. Nie miała makijażu, mokre włosy zaczesła do tyłu.

- Dzień dobry - powiedział. - Widzę, że jest lepiej.

- Zdecydowanie.

- Mama! - zapiszczał Dylan, usłyszawszy jej głos.

- Cześć, kochanie. - Rozpromieniła się na jego widok.

Dylan szybko przykuśtykał do mamy. Colin przyjrzał mu się uważnie. Mimo że chłopiec chodził niestabilnie, świetnie utrzymywał równowagę. Gdyby nie ograniczał go zakaz biegania, poruszałyby się sprawniej.

Rowena wzięła syna na rękę. Długo opowiadał, co robił podczas jej choroby, jakie Colin przeczytał mu książki i co jedli.

- Wygląda na to, że się razem bawiliście? - zauważyła Rowena.

- Colin mój tatuś. - Dylan skwapliwie przytaknął.

Co? Tatuś? Tego nikt się nie spodziewał. Ani Colin, ani Rowena. Zapadło niezręczne milczenie.

- No, Dylan, pokaż mamie, co narysowałeś wczoraj na plastyce. - Podczas ostatniej doby Colin nauczył się jednej rzeczy na temat dwulatków: bardzo łatwo je zmanipulować.

Dylan błyskawicznie zsunął się z rąk mamy.

- Psyniose. - I energicznie ruszył w stronę pokoju.

- Przepraszam - szepnęła zawstydzona Rowena.

- Nie szkodzi.

- Nie mam zielonego pojęcia, skąd mu to przyszło do głowy. Nigdy

do nikogo tak nie mówił.

- Roweno...

- Jego koledzy opowiadają o tatusiach i... Posłuchaj, z nikim się nie spotykam, więc Dylan ma ograniczony kontakt z mężczyznami. Wcale nie uważam nas za parę.

- Nie tłumacz się. - Chwycił jej dłoń. - Nic się nie stało. Nie sądziłem, że moja przyjaźń z Dylanem namiesza mu w głowie. Gdybym wiedział, nie upierałbym się, żeby tu zostać. To ja przepraszam, że postawiłem cię w takiej sytuacji.

- Chcę mu dać wszystko, czego potrzebuje, ale nie umiem. Chyba go zawiodłam.

Do kuchni wrócił Dylan z rysunkiem w ręce.

- Ale śliczny! Przepiękny! - zawołała wzruszona.

Colin zastanawiał się, jak w ogóle mogła pomyśleć, że zawiodła Dylana? Przecież jest takim szczęśliwym, mądrym i zdrowym w miarę możliwości dzieckiem, a zawdzięcza to - wedle słów Betty - właśnie Rowenie.

- Załapię się na kubek kawy? - zapytała.

Nie zdziwiłaby się, gdyby po takim komentarzu, jakim uraczył ich Dylan, Colin zrobił w tył zwrot i uciekł gdzie pieprz rośnie. On jednak zaproponował jej śniadanie.

- Zjesz coś? Pewnie umierasz z głodu.

- Wystarczą mi płatki.

- Bzdura. - Otworzył lodówkę i wyjął naleśniki. - Zostawiłem dla ciebie.

- Och, naleśniki Betty.

- Niezupełnie. Ja je zrobiłem.

- Ee... chętnie spróbuję.

- Nie bój się. - Roześmiał się. - Są jadalne.

- Nawet nie wiedziałam, że mam ciasto w proszku.

- Nie masz. Sam je przygotowałem. - Włożył naleśniki do mikrofalówki i nalał kawy do kubka. - Śmietanka? Cukier?

- Czarna. Nie wiedziałam, że umiesz gotować.

- Wiele rzeczy o mnie nie wiesz.

Czy ona ma wybujałą wyobraźnię, czy on jej właśnie zasugerował, że powinno być inaczej? Przecież to miał być przelotny romans! Rozległ się dzwonek w mikrofalówce. Colin postawił na stole talerz z naleśnikami. Rowena poliała je masłem i syropem, potem włożyła do ust pierwszy kęs.

- Rany boskie! Przepyszne!

Po zaspokojeniu głodu świat od razu wydał się lepszy. Rowena uśmiechała się promiennie.

- Ze względu na Dylana - rzekł Colin - chyba będzie lepiej, jeśli przestaniemy się widywać w jego obecności.

- Jasne. Mamy jeszcze półtora tygodnia. Nie komplikujmy sobie życia.

Niedługo jej życie i tak się skomplikuje. Bóg jeden wie, jak bardzo. Sfinalizowała najważniejsze sprawy. Jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, wkrótce jej plan wejdzie w życie.

- Mam teraz robotę - oznajmił Colin. - Wyślij mi esemesa, kiedy Dylan zaśnie. Betty wspominała, że personel ma wolne weekendy. Chyba nie będziemy wiele ryzykować.

Betty jest fantastyczna.

- W porządku.

- Do zobaczenia. - Zerknął w stronę Dylana, który gapił się w telewizor. Potem pocałował ją w usta i wyszedł.

Rowena siedziała w kuchni, delektując się wolną chwilą. Piła już drugą filiżankę, kiedy zadzwonił telefon.

- Niestety, niczego się nie dowiedziałam - rzekła Cara. - Szukałam w internecie i popytałam wśród znajomych. Nikt nie wie, co się stało z Madeline. Jakby się rozpułyła w powietrzu.

- Albo zmieniła nazwisko i przeszła poważną metamorfozę. Nie masz przypadkiem albumu z roku, zanim ją wyrzucili ze szkoły?

- Muszę poszukać. A ty masz?

- W Waszyngtonie, w magazynie ze starymi rzeczami. Nieprędko będę miała okazję je przejrzeć.

- Dobrze, poszukam u siebie.

- Rozmawiałaś z Ariellą?

- Tak. Jest w szoku.

Kto by nie był, gdyby się właśnie dowiedział, że jest nieślubnym dzieckiem prezydenta?

- Już z nim rozmawiała?

- Jeszcze nie. Czekają na wyniki DNA. Do tego czasu Ariella ukrywa się przed mediami. To taka słodka dziewczyna. Nie zasłużyła sobie na skandal.

- A co z jej matką?

- Eleanor Albert zapadła się pod ziemię.

Cara opowiedziała jeszcze kilka najświeższych, waszyngtońskich ploteczek w stylu, kto z kim sypia, a kto komu daje w łapę, i przyjaciółki się pożegnały. Rowena wyłączyła laptop i zawołała:

- Dylan, skarbie, idziemy na plac zabaw?

- Colin idzie z nami? - wykrzyknął Dylan.

Cholera. Trzeba mu to wreszcie wytłumaczyć. Usiadła na dywanie obok niego.

- Nie, Colin nie idzie z nami. Był u nas, bo mama była chora i chciał nam pomóc. Tak samo jak wtedy, gdy miałeś iść do szpitala, bo rozciąłeś sobie głowę i Colin opatrzył ci ranę.

- Będzie moim tatusiem? - Dylan kiwał główką.

- Nie, kochanie. - Westchnęła. - Colin nie będzie twoim tatusiem. Będzie twoim przyjacielem.

- Nie mam tatusia. - To proste stwierdzenie złamało jej serce.

- Niektóre dzieci nie mają tatusiów. Wtedy mamusie kochają je

podwójnie. Bardzo, bardzo mocno. - Łaskotała go tak długo, aż ze śmiechu zabrakło mu tchu. - Teraz wskakuj w buty i pakuj plecak. Możesz zabrać tylko jedną zabawkę.

- Hulla!

Patrzyła, jak niezgrabnie idzie do swojego pokoju. Jest taki słodki i niewinny. Jej serce pękało z miłości do niego. Nagle ogarnęło ją przecucie, że mimo tego, co przeszedł, poradzi sobie w życiu. Stawi czoło temu, co przyniesie los i będzie szczęśliwy. Żałowała, że nie miała takiego przecucia co do swojej przyszłości.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rowena i Dylan bawili się na placu zabaw aż do lunchu, a potem zafundowali sobie ucztę w ulubionym fast foodzie Dylana. Rowena wyjątkowo pozwoliła mu wypić bezkofeinową colę. Wkrótce nie będzie ich stać na takie luksusy. Będą oszczędzać każdy grosz.

O siódmej trzydzieści Dylan leżał już w łóżeczku, a chwilę później spał.

Rowena cieszyła się na wieczór z Colinem. Mają dla siebie całą noc. Wreszcie będą się kochać w łóżku. Włożyła koronkowe body i satynowy szlafrok, rozpuściła włosy i pomalowała usta. Rozchyliła poły szlafroka, zrobiła selfie i wysłała je Colinowi zamiast esemesa. Chyba musiał czekać w pogotowiu, bo jakieś dwie minuty później już pukał do jej drzwi. Na jej widok mruknął z zachwytem.

- To dla mnie? - zapytał, dotykając koronki okrywającej piersi.

- Odrobina perwersji nie zaszkodzi.

- A co ja miałem włożyć? Pizamę z jedwabiu? Niestety, nie posiadam.

- Podobasz mi się taki jak teraz. - Spodnie do joggingu łatwo zdjąć, a nylonowa koszulka seksownie opina mięśnie. To niekwestionowane zalety jego stroju. - Przed nami cała noc, nie musimy się spieszyć. Czego się napijesz? Herbaty mrożonej? Może masz ochotę na whisky?

- Napiłbym się wody.

- Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczony. Miałem ciężki tydzień.

- Siadaj. Pójdę po wodę.

W kuchni napełniła dwie szklanki filtrowaną wodą i wrzuciła kilka kostek lodu. Denerwowała się. Nie z powodu seksu, bo był udany. Co jednak mieliby robić po seksie? O czym rozmawiać? Jeśli zrobi

się drętwo, może zacznie udawać, że zmógł ją sen? Wróciła do salonu i postawiła na stoliku szklanki. Colin siedział na kanapie z głową opartą na poduszce. Oczy miał zamknięte.

- Obudź się, śpiochu. - Usiadła obok niego, delikatnie masując jego ramię.

- Odpłynąłem?

- Chyba tak.

- Przepraszam. - Ziewnął. - Jestem wykończony. - Potarł skronie. - Głowa mi pęka.

- To ma być wymówka?

- Nie. Po prostu okropnie się czuję.

Rzeczywiście, był blady i miał przekrwione oczy. Przycisnęła dłoń do jego czoła.

- Colin, masz gorączkę.

- Cholera, wiedziałem - wymamrotał.

- Idziemy. - Wyciągnęła dłoń, by pomóc mu wstać z kanapy. - Będzie ci wygodniej w łóżku.

- Daj mi jeszcze minutkę, zanim mnie stąd wyrzucisz.

- Miałam na myśli moje łóżko.

Zdziwiony uniósł brwi.

- Sądziłeś, że po tym, co dla mnie zrobiłeś, wyrzucę cię z domu? - sarknęła.

- Nie chcę być dla ciebie ciężarem.

- Proszę, oszczędź mi tej gadki. - Wzniosła oczy do nieba. - Podoba ci się czy nie, jesteś skazany na mnie. Teraz wstawaj.

- A co z Dylanem?

- Zamkniemy drzwi do sypialni. Nawet się nie zorientuje, że tu byłeś.

- A inni?

- Poproszę Betty, żeby rozpowiedziała, że jesteś u siebie i żeby ci nie przeszkadzać, bo się źle czujesz. Jeśli zaraziłeś się ode mnie,

przejdzie ci po dwóch dniach. Idziemy.

Pomogła mu wstać.

- Wiesz, że sam bym sobie poradził, prawda? - wymamrotał, idąc za nią do sypialni.

- Tak, tak. Jasne. Poradziłbyś sobie - westchnęła. Mężczyźni to duże dzieci, zwłaszcza podczas choroby. Weszli do sypialni. - Pościel jest czysta, dziś zmieniałam. Potrzebujesz czegoś? Piżamę?

Potrząsnął głową i spojrzał tęsknym wzrokiem w kierunku łóżka.

- No już, wskakuj. Poszukam czegoś od bólu głowy.

Po chwili przyniosła wodę i tabletki.

- Co za romantyczny weekend! Miejmy nadzieję, że do jutra wydobrejesz. - Nakryła go kołdrą po brodę. Usiadła na łóżku i znów sprawdziła mu czoło. Gorące.

- Czy już ci mówiłem, że jesteś wspaniałą matką?

- Owszem, zdarza mi się. - Uśmiechnęła się.

- Pamiętaj, że mówi ci to człowiek, którego matka nie miała bladego pojęcia o matkowaniu. Dylan ma szczęście.

- Moja mama też nie była idealna. Zostawiła nas dla faceta, i to protegowanego ojca. On porzucił dla niej żonę i córki. I cała ta heca dla miłości, która skończyła się wraz z medialnym cyrkiem, jaki się wokół niej rozkręcił.

- Ile miałaś lat?

- Jedenaście. I jak przystało na jedenastolatkę, byłam wrażliwa i podatna na wpływy.

- Nie wróciła do was?

Potrząsnęła głową.

- Poznała bogatego Szweda, który zabrał ją do Europy. Urodziła mu dwa przeurocze niebieskookie i białowłose bobaski. Nazwała je Blitz i Wagner. Między nami mówiąc, te imiona bardziej pasują do psów, prawda? Kiedy dotarły do mnie plotki o ich romansie, byłam w liceum. Podobno poślubiła mojego ojca tylko dlatego, że była

w ciąży ze mną.

- To prawda?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- Rozmawiacie czasem?

- Ja i ona? Nigdy. Czasem dostaję kartki na święta.

- Czyli wychowywał cię ojciec?

- Sama się wychowywałam. On nie miał dla mnie czasu. Po jej odejściu zupełnie się mną nie interesował. Wymyśliłam sobie, że jeśli będę idealną córeczką, sprawię mu tym przyjemność, a może nawet będzie ze mnie dumny. W końcu dotarło do mnie, że niczym go nie zadowolę. Ani najlepszymi stopniami, ani wzorowym zachowaniem. Niczym. Potrzebna mu byłam tylko do rodzinnych zdjęć dla prasy. Poza tym ignorował mnie albo krytykował. W końcu wpadłam na szatański pomysł, że bycie grzeczną nic mi nie daje i jest nudne. A więc zrobiłam się niegrzeczna i rzuciłam w wir zabawy, niszcząc jego starannie wypracowany wizerunek. Wreszcie zwrócił na mnie uwagę.

- Nawet złość jest lepsza niż obojętność.

- No właśnie.

- I co? Podziałało?

- Och, i to jak. Alkohol i narkotyki. Doprowadzałam go do szału. A przy okazji dzięki używkom życie wydawało mi się znośniejsze. Oczywiście, skończyło się to fatalnie.

- Obwiniasz ojca, że wpędził cię w nałóg?

- O Boże, nie! To nie tak. Sama odpowiadam za moje czyny. Najbardziej żałuję tego, że wyrządziłam krzywdę ludziom, którzy naprawdę mnie kochali.

- Spójrz na siebie, wyszłaś na prostą.

- Czasem, jak spojrzę, to się boję. Boję się, że zawiodę Dylana.

- Każdy ma swoje lęki. Bez nich nie bylibyśmy ludźmi. - Ziewnął i zamknął oczy. Po chwili jego oddech stał się miarowy i głęboki.

Siedziała przy nim i patrzyła, jak śpi. Kusilo ją, by się położyć obok niego, ale w końcu zasnęła na kanapie. Obudziło ją lekkie poklepywanie po plecach. Otworzyła oczy. Przy kanapie stał Dylan.

- Mama!

- Colin wstał? - Usiadła, przecierając oczy.

- Śpi.

- To jak wyszedłeś z łóżeczka?

- Pskoczyłem. Kce mieć duze luzko. - Patrzył na nią z dumą.

- Dylan, więcej tego nie rób! - Zdenerwowała się.

- Pseplasm. - Trzęsa mu się bródka, a duma zniknęła z jego bużki.

- Nie, to mamusia przeprasza. - Zrobiło jej się głupio, więc przytuliła go mocno. - Nie powinnam była krzyczeć. Przestraszyłam się. Mogłeś sobie zrobić krzywdę.

- Kce być duzy.

- Wiem, kochanie. Będiesz duży. Musisz być cierpliwy. - Wiedziała, że cierpliwość nie jest mocną stroną dzieci.

- Co się stało? - Z sypialni wyszedł Colin. Był bosy, bez koszulki, w niedbale naciągniętych spodniach do joggingu.

- Kołin! - zapiszczał z radości Dylan. Rzucił się przez salon szybciej, niż mu wolno i przytulił się do kolan Colina.

- Dylan sam wyszedł z łóżeczka - oznajmiła Rowena.

- Wiem. - Colin pogłaskał Dylana po głowie. - Najpierw szukał cię w sypialni.

- Nici z naszego planu. - Zakłęła w duchu, że malec znów rozbudzi w sobie niepotrzebne nadzieje.

- Pierwszy raz to zrobił? - dziwił się Colin.

Pokiwała głową.

- Jak się czujesz?

- Jakbym zaliczył piętnaście walk w ringu. Wszystko mnie boli. Nawet włosy.

- Tak samo się czułam.
- Masz jeszcze ibuprofen?
- Jasne. Wracaj do łóżka. Przyniosę ci.
- Puść mnie, stary. - Colin pogłaskał Dylana po czuprynce.
- Dylan, kochanie, Colin jest bardzo chory.
- Tak jak mamusia?
- Tak. Colin opiekował się mamusią i teraz mamusia opiekuje się Colinem. Rozumiesz?

Pokiwał ze zrozumieniem głową, ale kto by tam odgadł, co się dzieje w głowie dwulatka.

- Pobaw się chwilę w pokoju - poprosiła.

Dylan posłusznie ruszył do siebie. Rowena wzięła lekarstwo i szklankę wody. Weszła do sypialni, usiadła na brzegu łóżka i podała Colinowi tabletki. Połknął je, popił wodą i odstawił pustą szklankę na stoliku.

- O co chodzi z Dylanem?

- Od dawna zamęcza mnie o duże łóżko. Do tej pory zwodziłam go i chyba stracił cierpliwość. Muszę mu kupić normalne łóżko.

- Dlaczego?

- Bo teraz będzie sam wstawał. Może sobie zrobić krzywdę, może gdzie pójść, kiedy będę spała.

- Nie możesz go zamknąć w pokoju?

- Zamontuję bramkę. Nie chcę, żeby spał w normalnym łóżku. Boję się, że spadnie i zrobi sobie krzywdę.

- Po prostu połóż na podłodze duży materac.

Rany, ten człowiek jest geniuszem!

- Świetny pomysł! Jak na to wpadłeś?

- To chyba oczywiste. - Colin wzruszył ramionami.

Dziwiła się, że sama wcześniej o tym nie pomyślała.

- Zrobię tak.

Colin ziewnął i zamknął oczy.

- Chciałbyś coś zjeść przed naszym wyjściem? - zapytała.
- Waszym wyjściem?
- Jest poniedziałek. Muszę iść do pracy.
- Zapomniałem. Nie, dziękuję. Nic bym nie przełknął.
- Poproszę Betty, żeby do ciebie zaglądała. Będę pod telefonem na wypadek, gdybyś czegoś potrzebował. - Pocałowała go w policzek. -
Wracaj do zdrowia.

- Dzięki za wszystko.

Kiedy była przy drzwiach, doszedł ją jego szept.

- Naprawdę jesteś wspaniałą matką.

Starła się. Cieszyła się, że ktoś ją docenia.

- Dziękuję - powiedziała wzruszona.

Nie miała ambicji, by robić karierę zawodową. Zdawała sobie sprawę, że to staromodne podejście, ale dla niej karierą była opieka nad Dylanem. To była praca na pełny etat, która napawała ją dumą. Jeśli kiedykolwiek przyjdzie jej założyć rodzinę, to tylko z kimś, kto wyznaje podobne wartości. Jeżeli w ogóle ktoś taki istnieje...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy późnym popołudniem wróciła z pracy, Colina nie było w domu.

- Gdzie jesteś? - zapytała, gdy odebrał telefon.
- Dziś śpię u siebie. Tak będzie lepiej dla Dylana.
- Dzięki. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.
- To twój syn. On jest na pierwszym miejscu. Zresztą, już mi lepiej.

- Jadłeś coś?
- Betty przyniosła mi lunch.
- Jak będziesz czegoś potrzebował, dzwoń.
- Jasne. Dzięki jeszcze raz.

Na dzień przed powrotem senatora znów wrócili do randek przy basenie. Tak miało być aż do powrotu Colina do Anglii.

Kilka godzin później, kiedy Rowena układała Dylana do snu, chłopiec jak zwykle zapytał:

- Dostanę duże łóżko?
- Tak. Przyjedzie do nas za dwa dni.
- Prawdziwe? - Otworzył szeroko oczy. - Nie dla dzieci?
- Nie. Prawdziwe łóżko. Jeszcze dwie noce.
- Hulla!

Jemu te dwie doby będą się ciągnąć w nieskończoność.

- Obiecaj mi, że do tego czasu nie będziesz wychodził sam z łóżeczka, dobrze? Żebyś nie zrobił sobie krzywdy.
- Dobra, mama.
- Przyszekasz?
- Psiziekam. - Pokiwał główką.

Kiedy następnego ranka weszła do jego sypialni, siedział na dywanie i bawił się klockami.

- Wskocilem, mama! - obwieścił z dumą.

Nie nakrzyczała na niego. Skoro za pierwszym razem ta forma kary nie przyniosła efektów, nie ma sensu jej powtarzać. Lepiej wyciągnąć materacyk z łóżeczka, położyć go na podłodze i zamontować specjalną bramkę do zamykania pokoju. Zamówiła ją razem z łóżkiem.

W przedszkolu Dylan bez przerwy trajkotał o nowym łóżku.

- W końcu zmiękaś? - powiedziała Tricia, kiedy po podwieczorku wyszły z dziećmi na plac zabaw.

Rowena przyznała, że Dylan nie zostawił jej wyboru.

- Tak szybko rośnie. Chyba nie jestem jeszcze na to gotowa.

- Gotowa, niegotowa. Nie powstrzymasz tego.

- Chciałabym, żeby zawsze był moim maluszkiem.

- Przecież możesz sobie machnąć drugiego. A skoro o tym mowa, jak się czuje Colin?

- To nie jest zabawne - zachnęła się Rowena.

- Spędził z tobą noc? - zapytała wprost.

- Nie. Spałam na kanapie.

- A w twoim łóżku nie ma miejsca dla dwóch osób?

- Niby jak to wytłumaczę Dylanowi?

- Rozumiem. - Tricia wzruszyła ramionami. - Czyli ty i Colin wciąż się upieracie przy relacji bez zobowiązań?

- No.

- I to ci wystarcza?

- Nawet jeśli nie, co z tego? On wkrótce wyjeżdża.

- A gdyby cię poprosił, wyjechałabyś z nim?

- Nie robi tego.

- A jeśli?

- Związek z drugim człowiekiem to praca. Ciężka i mozolna. A i tak większość z nich się rozpada. Nie po to wyrywam się z ramion ojca, żeby się rzucić w inne. Ja chcę wreszcie być... sobą.

Chcę się sama zająć Dylanem. Chcę się przekonać, że potrafię.

- Będzie ci ciężko porzucić przedszkole. Stworzyłaś je.

W oczach Roweny pojawiły się łzy.

- W weekend sprzątam salę zabaw - powiedziała Tricia.

- Daj znać, jeśli będziesz potrzebować pomocy.

- To ostatni weekend Colina?

Rowena pokiwała głową.

- Co wolisz? Być z nim czy sprzątać salę?

- Dobre pytanie.

- Row, nie unikniesz tego. W końcu poznasz mężczyznę, który cię pokocha i będzie wspaniałym ojcem dla Dylana. Będziesz miała swoje „żyli długo i szczęśliwie”.

Nie chciało jej się tłumaczyć, że szczęśliwe zakończenia bywają tylko w bajkach, nie w życiu.

Colin był w rozterce. Rowena leżała obok, wtulając się w jego ramiona, cudownie pachnąca i ciepła. To był ten moment, którego najbardziej nie lubił. Po seksie najchętniej wskakiwał w ubranie i zmywał się czym prędzej, ale teraz wcale nie miał na to ochoty.

Poderwać, przelecieć i zwiać. To było jego życiowe motto. Jego i kumpli. Może to nieeleganckie, ale po co się wiązać z jedną kobietą, skoro po świecie chodzi tyle fantastycznych lasek? Z biegiem czasu kumple, jeden po drugim, żenili się i zakładali rodziny. Teraz na placu boju pozostał już tylko on.

- Fajnie się kochać w łóżku - westchnęła. - Nie chcę przez to powiedzieć, że na podłodze w domku letnim było niefajnie. Albo przy lodówce, albo pod prysznicem.

- Albo na blacie - dorzucił Colin.

- No! Na blacie było ekstra. - Próbowała powstrzymać uśmiech.

Zadzwonił telefon. Colin spojrzał na wyświetlacz. To był ojciec Roweny. Dzwonił z biura w Waszyngtonie.

Staruszek ma świetne wyczucie czasu.

- Sądziłem, że o tej porze będziesz w samolocie do Los Angeles.

- Niestety, zatrzymały mnie obowiązki. Musimy się pilnie spotkać.

Razem z kilkoma politykami chcemy przedyskutować pomysł powołania komisji śledczej w sprawie nielegalnego pozyskiwania przez ANS informacji na temat osób prywatnych, ale też prezydenta. Chcemy, żebyś wszedł w skład komisji. Masz spore doświadczenie w tej dziedzinie. Poza tym ta sprawa ma bezpośredni związek z traktatem, nad którym pracujemy. Przyjedź do Waszyngtonu.

- Ale po co zaraz komisja?

- Zanim moje biuro będzie legitymować traktat, chciałbym zgłębić wszystkie aspekty zagadnienia.

Aha. I wrzucić swoje trzy grosze. Po tylu naradach i dyskusjach senator wciąż nie jest przekonany co do istoty problemu?

- Kiedy mam się stawić w Waszyngtonie?

- Umówy się na czwartek. Dziesiąta rano w moim biurze.

- W porządku. Będę. - Rozłączył się i rzucił telefon na stolik. No cóż, to jego ostatni weekend z Roweną. Nie chciał go stracić.

Rowena przeciągnęła się i ziewnęła.

- Gdzie będziesz?

- W Waszyngtonie. Mam spotkanie z twoim ojcem.

- W jakiej sprawie?

Pokrótko wyjaśnił jej pomysł utworzenia komisji śledczej.

- Colin, on nie potrzebuje żadnej komisji. On dobrze wie, że ANS stoi za tym skandalem z prezydentem. Robi to po to, żeby cię zmanipulować. Wyciśnie, ile się da, a potem się ciebie pozbędzie.

- Trudno. - Nie miał wyjścia. Musiał podjąć tę grę. Poza tym nie obchodziło go, kto co ugra na tym traktacie. Najważniejsze, by został podpisany. - Pojedź ze mną.

- Do Waszyngtonu? - Zatrzepotała rzęsami.

- Dlaczego nie?

Zaskoczyło go jej zamyślane spojrzenie. Spodziewał się, że kategorycznie odmówi.

- W Waszyngtonie muszę poszukać czegoś w magazynie i... - zastanawiała się głośno - z kimś się spotkać. Ojciec nie może się dowiedzieć o moim przyjeździe.

- To chyba żaden problem.

- Poproszę Tricię, żeby się zaopiekowała Dylanem. Proponowała mi to już milion razy. Jeśli nie będzie mogła, Betty na pewno z nim zostanie.

- Zadzwoń do niej. - Szybko podał jej telefon, żeby nie miała czasu na zmianę zdania.

Przez chwilę się wahała, w końcu wstukała numer.

- Cześć, Tricia. Chciałam zapytać... Co? Jestem w domu. A co? - Nastąpiła pauza. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Wariatka. Dzwonię z telefonu Colina. Tak się właśnie zastanawiałam, bo... proponowałeś to już wcześniej i wiem, że dzwonię w ostatniej chwili... Chodzi o to, że Colin proponuje, żebym pojechała z nim jutro do Waszyngtonu. Zaopiekowałabyś się Dylanem? - Skrzywiła się, jakby spodziewała się odmowy. Znów zamilkła i po chwili uśmiechnęła się rozpromieniona. - Jesteś tego pewna? - Roześmiała się. - Tak, tak, obiecuję.

Pożegnała się i oddała Colinowi telefon.

- Zgodziła się!

- Świetnie. Załatwię bilety. O której chciałabyś lecieć?

- Wczesnym popołudniem. Mam jeszcze parę spraw.

- Jutro wszystko załatwię. - Wziął ją w ramiona. - Teraz chcę się nacieszyć naszą pierwszą nocą w łóżku.

- Ale... - Stłumił jej protest jednym pocałunkiem. Ułożył się tak, by się znalazła nad nim. Sięgnęła po leżącą na stoliku prezerwatywę, otworzyła opakowanie zębami i założyła mu ją

w piekielnie zmysłowy sposób, który niemal doprowadził go do ekstazy. Nagle dopadła go myśl, co będzie, kiedy jej zabraknie? Usiadła na nim, a on zdążył tylko pomyśleć, że będzie się tym martwił później.

Nazajutrz Rowena żegnała się z Tricią i Dylanem. Pod przedszkolem czekał Colin w wynajętej limuzynie.

Po raz pierwszy opuszczała Dylana na tak długo i choć ufała Tricii bezgranicznie, pękało jej serce. Dylan natomiast był tak uradowany wizją nocowania u Tricii, że prawie wyrzucił mamę za drzwi. Po sześciokrotnym wyrecytowaniu listy leków Dylana i dziesięciokrotnym powtórzeniu numerów ratunkowych Tricia miała ochotę zrobić to samo.

- Wszystko będzie dobrze. Jedź już - prosiła. - Przynajmniej niech jedna z nas skorzysta z życia. I nie martw się o Dylana. W razie czego zadzwonię.

Szofer otworzył Rowenie drzwi. Usiadła na tylnym siedzeniu obok Colina i spojrzała mu w oczy. Zdawały się nieziemsko błękitne na tle grafitu eleganckiego swetra. Colin uśmiechnął się do niej i pocałował ją w usta.

- Jak poszło? - zapytał, kiedy szofer zapalił silnik. - Dylan był zły, że wyjeżdżasz?

- Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdę. Będzie mu dobrze beze mnie. Ciężko mi to przyznać. Jeszcze niedawno był moim maleństwem, a teraz? Kiedy on tak wyrósł? Już mnie nie potrzebuje.

- Oczywiście, że potrzebuje. - Colin ją przytulił. - Ale potrzebuje też trochę niezależności.

- Wiem. Jestem nadopiekuńcza. I troszkę go rozpieściłam. Może nawet więcej niż troszkę.

- A mimo to zobacz, jaki jest niezależny.

- Twardy z niego dzieciak. - Uśmiechnęła się.
- Ma to po matce.

Westchnęła. Nawet w połowie nie była tak silna. Zerknęła przez okno. Chyba nie jadą na lotnisko w Los Angeles.

- Dokąd jedziemy?
- Na lotnisko.
- Przecież lotnisko jest gdzie indziej.
- Zarezerwowałem lot prywatnym odrzutowcem.
- Przecież to kosztuje fortunę! - zawołała przejęta jak dziecko.

Colin wzruszył ramionami i wymienił niebotyczną sumę tonem tak beznamietnym, jakby mówił o kilku groszach. Zachowywał się tak zwyczajnie, że zapomniała, że jest majętnym hrabią spokrewnionym z rodziną królewską.

- Wiesz, jaki jest największy plus prywatnych odrzutowców? - zapytał.

- Bezpłatny alkohol i orzeszki?

- To miłe bonusy - zaśmiał się - ale mnie zależało na prywatności. Będziemy jedynymi pasażerami na pokładzie. - Patrzył na nią wymownie.

Czy nie o to im właśnie chodziło? Chyba nie bez powodu taki odrzutowiec nazywa się „prywatny”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rowena przyznała z niechęcią, że powrót do Waszyngtonu po tylu latach był jak powrót do domu. W drodze z lotniska do hotelu każda ulica i każdy skwer przywoływały stare wspomnienia. Mimo to nie chciałyby znów tu zamieszkać. Wolała leniwy rytm życia Kalifornii, nie wspominając o klimacie. Wyprowadzka w żadne inne miejsce nie wchodziła w grę, zwłaszcza że w Los Angeles pracowali lekarze i terapeuci Dylana.

Jeszcze w limuzynie jadącej do hotelu wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Tricii.

- Świetnie się bawimy - zakomunikowała przyjaciółka. - Dylan jest grzeczny jak aniołek. Zdrzemnął się po południu, a teraz przygotowujemy lunch.

Rowena spodziewała się, że poczuje zazdrość i rozczarowanie, skoro syn za nią nie tęskni i potrafi się bez niej świetnie bawić. Zamiast tego poczuła ulgę. Była matką, ale oprócz tego człowiekiem, który ma prawo do własnego życia bez wyrzutów sumienia, że zaniedbuje dziecko.

Limuzyna zatrzymała się pod hotelem Four Seasons w Georgetown. Gdy kierowca otworzył drzwi, Rowenę owiało chłodne i wilgotne powietrze. Z tęsknotą pomyślała o słońcu Kalifornii.

Lobby było dokładnie takie, jak zapamiętała. Przestronne i nowoczesne, ale przytulne. Colin podszedł do recepcji po klucze, a ona stanęła przed kominkiem, by ogrzać dłonie. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że choć oboje są dorośli i wolni, popełniają świętokradztwo.

- Gotowa? - Colin podał jej jeden z dwóch kluczy.

- Gotowa. - Gdy wsiadali do windy, czuła się jak księżniczka.

W miejscach publicznych Colin zachowywał się trochę inaczej niż prywatnie. Swoją postawą, sposobem poruszania przykuwał uwagę i budził respekt. To, co jeszcze tydzień temu uznałaby za arogancję i zmanierowanie, teraz wydawało jej się przejawem siły charakteru i pewności siebie. Był bardzo kulturalny wobec obsługi. Kiedy boy hotelowy zaniósł ich walizki do pokoju, Colin wręczył mu spory napiwek.

Apartament został zawczasu przygotowany na ich przyjazd. W kominku trzaskał ogień, a w kubelku z lodem chłodził się szampan. Oczywiście bezalkoholowy. Od czasu trudnej młodości Rowena nie dotykała alkoholu.

- Jesteś głodna? - Colin pomógł jej zdjąć płaszcz.

- Umieram z głodu. Tyle miałam roboty przed wyjazdem, że zapomniałam o lunchu.

- Zamówimy jedzenie do pokoju. Tak będzie wygodniej. - Przyciągnął ją do siebie. - Nie będziemy się musieli w ogóle ubierać. Na co masz ochotę?

- Na wszystko. - Uśmiechnęła się zalotnie.

Kiedy wybierali dania z karty - starała się nie patrzeć na ceny, które były astronomiczne - zadzwonił telefon. Jej pierwszą myślą było: Dylan miał wypadek. Nerwowo zaczęła obmyślać plan powrotu do domu. Odetchnęła z ulgą, kiedy na wyświetlaczu zobaczyła numer Cary.

- Przepraszam, że dopiero teraz oddzwaniam. Co to za nowiny?

- Nie zgadniesz, gdzie teraz jestem.

- No to już wiem, że nie w Kalifornii.

- W Waszyngtonie.

- Serio? - Cara zapiszczała z radości, jakby wciąż była szaloną nastolatką. Miło stwierdzić, że niektórzy się wcale nie zmieniają.

- Zatrzymaliśmy się w Four Seasons.

- My? Ty i Dylan?

- Hm, nie...

- No chyba nie ty i senator? - zapytała Cara.

- Nie, nie on.

Zapadło długie milczenie.

- O rany, masz kogoś! - Cara znów zapiszczała.

- Być może.

- Tak się cieszę! Powiedz mi, kto to jest. Gdzie go poznałaś?

Przystojny?

Rowena roześmiała się.

- Umówmy się na jutro. Najpierw podjadę do magazynu i poszukam albumu, a potem możemy się spotkać.

- W takim razie zapraszam cię na lunch.

- Poczekaj. - Rowena odłożyła telefon. - O której masz spotkanie?

- zapytała Colina. Akurat nalewał szampana do kieliszków. - Chciałam się z kimś spotkać.

- O dziesiątej.

- Może potem dołączysz do nas? - Co za sens mieć bogatego przystojnego kochanka i nie pochwalić się nim przed światem?

- To mężczyzna czy kobieta? - zapytał. Przysięgłaby, że słyszała nutę zazdrości w jego głosie. Może to obciach, ale schlebiali jej to pytanie.

- Kobieta.

- W porządku. Postaram się być na czas.

- O jedenastej? - Rowena przyłożyła telefon do ucha.

- Idealnie.

Umówiły się w niewielkiej knajpce w okolicy hotelu.

- Ach, mam prośbę - dodała Rowena. - Nie mów nikomu, że tu jestem. Nie chcę, żeby ojciec się dowiedział.

- Dlaczego?

- Jutro ci wytłumaczę.

Odłożyła telefon i usiadła na kanapie obok Colina. Przytulili się

i czekali na jedzenie, powoli sącząc szampana. Była szczęśliwa jak chyba nigdy dotąd.

- Opowiedz mi o ojcu Dylana - zagadnął.

- Po co? - Zaskoczyło ją to pytanie.

- Po prostu jestem ciekaw. - Wzruszył ramionami.

- Nie lubię o nim opowiadać. Spędziłam z nim pół roku. To był najgorszy okres w moim życiu.

- Dylan go nie widuje?

- Nigdy go nie widział. - Potrząsnęła głową.

- Dlaczego?

- Tata słono zapłacił za zrzeczenie się praw rodzicielskich.

- Dlaczego?

- Poznałam Wileya w barze, przesiadywał tam bez przerwy i ostro imprezował. Przegrany polityk, kompletnie splukany. Kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, byłam w szoku. Nie umiałam się zaopiekować sobą, a co dopiero dzieckiem. Potem na USG zobaczyłam pulsujące serduszko. I to był znak. Wiedziałam, że muszę się zmienić. Jednego dnia przestałam pić i ćpać. To był koszmar. Cara pomogła mi przejść przez odwyk. Miesiącami zbierałam się na odwagę, żeby powiedzieć o wszystkim ojcu. Wiley gdzieś zniknął, ale tata go odnalazł i mu zapłacił.

- Byłaś wściekła na ojca?

- Z jednej strony tak, bo Dylan nigdy nie pozna taty, ale z drugiej strony Wiley był kompletnym zerem. I tak by nas w końcu zostawił. Zresztą, co to za wzór dla dziecka? A więc dobrze się stało.

- A jeśli wróci i zacznie się domagać praw do Dylana?

- Gdyby ułożył sobie życie i chciałby w jakimś stopniu uczestniczyć w życiu dziecka, zgodziłabym się. Pod warunkiem, że Dylan też by tego chciał. Staram się robić to, co najlepsze dla niego.

- A co jest najlepsze dla ciebie? - zapytał Colin.

- Nad tym jeszcze pracuję. Ale już niedługo.

- Co niedługo?

- Chcę się uwolnić od ojca.

- Uwolnić?

- Wyprowadzić z rezydencji. Znaleźć własny dom, własną pracę. Już dawno powinnam to zrobić, ale bałam się, że sobie nie poradzę. Nie chcę takiego życia. Kiedy wspomniałeś o tym, co ci powiedział, o tym, żebyś trzymał się ode mnie z daleka, coś we mnie pękło. Zaczęłam obmyślać plan ucieczki. Bałam się, że się nie zakwalifikuję na program pomocy opieki społecznej ze względu na ojca senatora.

- Po co ci pomoc opieki społecznej?

- Cały fundusz powierniczy wydałam na leczenie Dylana. Teraz utrzymuje mnie ojciec. Jeśli zechcę się usamodzielnic, on odetnie mi dopływ gotówki. Grozi, że odbierze mi syna. Twierdzi, że dowiódłby w sądzie, że zaniedbałam dziecko z powodu uzależnienia.

- Przecież jesteś trzeźwa od trzech lat.

- Prawnik, z którym rozmawiałam w tej sprawie, twierdzi, że ojciec nie wskórałby wiele, jednak w każdej chwili może przestać płacić za leczenie, a mnie nie stać na takie wydatki. Teraz pojawiło się światło w tunelu. Kiedyś myślałam, że to niemożliwe i że sobie nie poradzę. Nie wiem, skąd znalazłam w sobie siłę.

Colin chwycił ją za podbródek i spojrzał jej w oczy.

- Rowena, ty w siebie nie wierzysz.

- Boję się, ale też nie mogę się doczekać.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- Chyba z góry znam odpowiedź, ale zapytam. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy...

- Nie. Muszę załatwić to sama. Dzięki za propozycję.

- I pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Położyła dłoń na jego policzku. Colin poczuł dziwny skurcz w piersi. Nagle zawładnął nim silny instynkt, by się nią

zaopiekować i zadbać o jej bezpieczeństwo. Targały nim emocje, których nawet nie umiał nazwać.

Rozległo się pukanie. Colin wstał i otworzył drzwi. Poprosił kelnera, by postawił tacę z posiłkiem na stole i wręczył mu spory napiwek. Kelner zdziwiony uniósł brwi.

- Dziękuję. - Podziękował szybko i wyszedł.

Colin żałował, że nie może w ten prosty sposób pomóc Rowenie, ale rozumiał jej decyzję i podziwiał ją. Niejeden na jej miejscu wybrałby łatwe życie na garnuszku ojca.

- Jedzmy póki ciepłe - usłyszał głos Roweny, ale on nie był już głodny.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Po raz pierwszy nie walczyła, ani nie domagała się przejęcia inicjatywy. Nie protestowała, kiedy zaczął ją rozbierać i pieścić. Do tej pory opierała mu się i żądała pierwszeństwa, jakby od tego zależało jej życie. Tym razem mu się poddała. Szeptał do jej ucha, że jest piękna i że jej pragnie. Zaspokoił ją raz, potem drugi, ale to mu nie wystarczyło. Położył się na niej, rozsuwając jej uda. Wbił wzrok w jej źrenice i powoli w nią wszedł. Ich ciała poruszały się w perfekcyjnej harmonii. Fala emocji rosła w nim, nieubłaganie sięgając szczytu i rozlała się wreszcie, uwalniając ciepło palące wewnątrz. Rowena zadrżała.

- Dziękuję - wyszeptała, zaciskając palce na jego ramieniu jak na linie ratunkowej.

Całował ją, głaskał i tulił tak długo, aż zapadła w sen, ale jemu wciąż było mało. I kiedy patrzył na nią, nagle dotarło do niego, że po raz pierwszy w życiu naprawdę kochał się z kobietą. I wiedział już, że ten raz mu nie wystarczy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Następnego ranka o jedenastej piętnaście Cara wbiegła do restauracji. Rowena siedziała przy stoliku w tylnej części sali. Na widok przyjaciółki poderwała się z krzesła i padła jej w ramiona.

- Przepraszam za spóźnienie. - Cara cofnęła się, by się przyjrzeć Rowenie. - Jak dobrze cię wreszcie widzieć! Ślicznie wyglądasz!

- A ty wprost kwitnąco!

- Max też mi to mówi. - Cara potarła policzek.

- I ma rację. Dosłownie promieniejesz szczęściem. Cięża ci służy.

- I mniej stresująca praca.

Usiadły przy stoliku i zawołały kelnerkę. Zamówiły dwie wody gazowane z limonką i dwie sałatki Cezar. Cara poprosiła o podwójną porcję kurczaka.

- A skoro mowa o szczęściu... - uśmiechnęła się znacząco - zakochałaś się?

Rowena powstrzymała uśmiech. Chciała zachować najlepsze na koniec.

- Później o tym pogadamy. - Ta wiadomość miała być jak wisienka na torcie. - Najpierw chciałam ci pokazać to... - Wyciągnęła z torebki stary album.

- Znalazłaś! - zawołała Cara.

- Bite dwie godziny szukałam tego w pudłach. Wreszcie znalazłam. W ostatnim, oczywiście.

- Przejrzałaś już?

- Nie miałam czasu. Musiałam jeszcze wysłać pocztą kilka pudeł do domu, a potem złapałam taksówkę. Nawet nie zdążyłam porządnie otrzepać się z kurzu.

- No to do roboty. - Cara potarła rękę.

Przeglądały uważnie album, aż dotarły do litery „B”. Dokładnie

obejrzały każdą fotografię, ale nie znalazły Madeline. Cara zrezygnowana oparła się o krzesło.

- Przecież ta osoba istniała naprawdę. Chyba jej sobie nie wymyśliłyśmy!

- Nie. - Rowena pokręciła głową.

- Wiem! - Cara znów się poderwała. - Sprawdźmy na końcu. Tam zamieszczali nazwiska uczniów, którzy nie mieli pamiątkowej fotografii.

Przekartkowały album do końca i tuż za Deirdre Zimmerman, na dodatkowej liście, znalazły nazwisko Madeline Burch.

- Dobry strzał! Szkoda tylko, że bez zdjęcia - zirytowała się Cara.

- A może znajdziemy ją na jakiejś zbiorowej fotografii? Może uprawiała jakiś sport? Albo chodziła na jakieś kółko? Na przykład teatralne? Albo należała do Klubu Dyskusyjnego?

- Pamiętam, że wszędzie łąziła sama i nigdzie się nie udzielała. Typ aspołeczny. Ale nie szkodzi sprawdzić.

Przejrzały dokładnie album, strona po stronie, zdjęcie po zdjęciu, przyglądając się każdemu, kto choć trochę przypominał Madeline. Bez rezultatu.

- Cholera! Na nic cała robota. A zatem... - Cara chrząknęła znacząco. - To jak on ma na imię?

- Colin Middlebury. - Rowena się rozmarzyła.

- Co? - jęknęła Cara. - Tylko mi nie mów, że to ten Colin, który wspiera pewnego senatora w sprawie międzynarodowego traktatu o zwalczaniu hackerstwa?

- Skąd go znasz?

- Słyszałam o nim. Wiem, że ma tytuł hrabiowski i że jest niezłe nadziany. Wiem też, że już kiedyś kręcili się wokół ciebie tacy jak on. Głównie zainteresowani wsparciem wpływowego tatusia.

- On jest inny - zaprotestowała niepewnie.

- Jak długo się spotykacie?

Rowena wiedziała, że tą odpowiedzią się pogrąży.

- Dwa tygodnie.

- To skąd wiesz, że jest inny? Jak można poznać człowieka w tak krótkim czasie? - Cara z zapalem studziła entuzjazm przyjaciółki.

- To nie tak, jak myślisz. - Rowena próbowała się tłumaczyć. Czuła się, jakby podcięto jej skrzydła. - Nawet nie jesteśmy parą. Po prostu razem spędzamy czas.

- Ależ kochanie! - Cara chwyciła ją za rękę. - Przepraszam. Nie chciałam cię zranić. Po prostu się o ciebie martwię. Nie chcę znów patrzeć, jak cierpisz.

- Kiedy go poznasz, przekonasz się, że jest inny.

- Przyjdzie tu?

- Tak. Zaraz po spotkaniu z ojcem.

Cara spojrzała na nią podejrzliwie.

Kelnerka przyniosła sałatki. Przyjaciółki jadły w milczeniu, gdy rozległ się sygnał w telefonie. Rowena wyjęła z torebki komórkę i przeczytała wiadomość. Colin wyjaśniał, że nie przyjdzie do restauracji, bo spotkanie z senatorem się przedłużyło i że spotkają się w hotelu.

- Jednak go nie będzie. - Wsunęła telefon do torebki. Irytowało ją, że tak łatwo zmienia zdanie. Po krótkiej rozmowie z Carą już zaczynała tracić wiarę w Colina. A przecież tu nie chodzi o wiarę, tylko o seks. Nie rościła sobie żadnych praw do Colina. Nic sobie nie obiecywali. Mógł mieć inną kobietę w Waszyngtonie albo w Anglii. Mógł mieć nawet kilka kobiet i to nie powinno jej obchodzić.

- Rowena, przepraszam - odezwała się Cara. - Widzę, że coś czujesz do tego faceta, a ja namieszałam ci w głowie. Zresztą, co ja o nim wiem? Nie znam go. Musi być cudowny, skoro tak mówisz.

Rowena przyjęła przeprosiny, ale było za późno. Zasiane przez Carę ziarno wątpliwości zaczęło powoli kiełkować.

Kiedy wróciła do hotelu i nie zastała Colina, poczuła się przybita. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się śmiesznie. Zdanie Cary nie powinno mieć dla niej znaczenia, bo go nie zna. Jego potrzeba swobody i niechęć do stabilizacji nie czyni z niego od razu złego człowieka. Był żołnierzem, bohaterem wojennym. Ale Rowena nie mogła mieć za złe Carze, że się o nią martwi. Przecież Cara wie o jej złych doświadczeniach z mężczyznami. Dlaczego tym razem miałyby jej uwierzyć?

A może tu wcale nie chodzi o Carę? Może problem polega na tym, że Rowena nie wierzy w siebie? Już wkrótce to się zmieni.

Tak jak Colin podejrzewał, spotkanie z senatorem Tate'em było czystą formalnością. I szczerze mówiąc, potworną stratą czasu. Senator i jego ferajna, wliczając głównego doradcę prezydenta, postawili go w ogniu pytań, na które w większości nie znał odpowiedzi, co powinno było uświadomić im potrzebę śledztwa w sprawie ANS i podejrzeń o hackerstwo. Obiecali mu, że wkrótce podejmą ostateczną decyzję co do traktatu. Colin znał realia waszyngtońskie i wiedział, że taka obietnica oznacza, że sprawa będzie się ciągnąć miesiącami.

Na odchodne senator wręczył mu listę blisko stu nazwisk podejrzanych, tak na wszelki wypadek. W taksówce Colin przejrzał ją i z zaskoczeniem stwierdził, że znaleźli się na niej chyba wszyscy, począwszy od gońca w ANS przez menedżerów stacji aż po celebrytów. Co za paranoja! Przypomniało mu to polowanie na czarownice za czasów McCarthy'ego, gdy każdy był winny, dopóki nie udowodnił swojej niewinności. Colin zaczął się zastanawiać, w co się właściwie wpakował.

Był tak pogrążony w myślach, że gdy wszedł do pokoju, niemal nadepnął na leżącą na dywanie grubą brązową kopertę. Podniósł ją i obejrzał. Była starannie zaklejona i niepodpisana. Rowena

niechcący ją upuściła? Zamknął drzwi, zdjął płaszcz i rzucił na kanapę.

- Rowena, jesteś?

Chwilę później wyszła z łazienki, otulona ręcznikiem. Włosy miała mokre, na skórze połyskiwały kropelki wody.

- Wróciłeś. - Rozpromieniła się na jego widok. W jednej chwili rozpięchły się lęki, w jakie wpędziła ją rozmowa z Carą.

Colin zapomniał o tajemniczej kopercie i wziął Rowenę w ramiona. Miała ciepłą i wilgotną skórę. Mruknęła z rozkoszy, kiedy musnął wargami jej usta. Za każdym razem, kiedy jej dotykał, pragnął jej jeszcze bardziej.

- Musimy zdążyć na samolot - westchnął, przyciskając czoło do jej czoła. Gdyby nie to, już dawno zerwałby z niej ręcznik i wylądowałiby w łóżku. - Jak było na lunchu?

- Zabawnie. A na spotkaniu?

- Beznadziejnie. Senator chce mnie wciągnąć w śledztwo polityczne, a mnie zależy tylko na traktacie.

- Nie podpisze traktatu bez twojego zaangażowania w śledztwo?

- Bingo.

- Senator zawsze stawia na swoim.

Ta reguła powoli stawała się dla niego oczywistością.

- To twoje? - Gdy pokazał jej kopertę, potrząsnęła głową. - Leżała na dywanie pod drzwiami. Myślałem, że to twoja zguba.

- Nie. Nie moja.

- Nie było jej na podłodze, kiedy weszłaś?

- Nie zauważyłam.

- Może ktoś zapukał i wsunął ją pod drzwi?

- Możliwe. Brałam prysznic. Mogłam nie słyszeć pukania.

Kto mógłby to zrobić? Niewiele osób wie o jego wizycie w mieście.

- Może to węglik? - zapytała. - Albo bomba?

- Bardzo śmieszne. - Spojrzał na nią z ukosa. Potrząsnął kopertą.

W środku coś było. Przez chwilę macał kopertę, wyczuwając kształt przedmiotu. – Jakby płyta.

– Otwórz.

Rozdarł kopertę i wyciągnął niepodpisaną płytę.

– Co to ma być? – zapytał zaskoczony.

– Jest jakiś list?

– Nic tu nie ma. Może ktoś podrzucił nam to przez pomyłkę.

– A może ktoś chciał, żebyś to znalazł?

– Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach.

– Colin, to Waszyngton. Jak myślisz, skąd się biorą pomysły na te filmy? Zobaczymy, co to?

– Czemu nie? – Włożył płytę do odtwarzacza DVD i to, co usłyszeli, wprawiło ich w osłupienie. Płyta ewidentnie była przeznaczona dla Colina. Stało się jasne, dlaczego ten, kto wsunął kopertę pod ich drzwi, wolał pozostać anonimowy.

– Czy ja dobrze słyszę? – Rowena zakryła usta.

Było to nagranie rozmowy telefonicznej między dwoma mężczyznami, którzy nie mieli pojęcia, że są podsłuchiwani. Omawiali plan wynajęcia hackerów do nagrywania rozmów telefonicznych i przechwytywania korespondencji komputerowej krewnych i przyjaciół Eleanor Albert. Powoływali się na ANS i właściciela stacji, bezwzględnego Grahama Boyle'a. Colin poczuł, jak mu stają włoski na karku. Ten, kto podrzucił mu tę kopertę, dostarczył mu dowód niezbędny do rozpoczęcia śledztwa. A im szybciej je rozpocznie, tym szybciej otrzyma wsparcie senatora w pracy nad traktatem.

– Myślisz, że to fałszywka? – zapytała Rowena.

– Nie ma powodu, żeby tak sądzić. Tylko dlaczego akurat ja?

– Przez ten traktat, który przygotowujesz z ojcem.

– Muszę jak najszybciej przekazać mu tę płytę. – Wyjął ją z odtwarzacza. – Wracam późniejszym samolotem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tego samego popołudnia Rowena wróciła do Kalifornii. Colin miał przylecieć wieczornym samolotem, ale ze względu na nowe dowody obciążające ANS w aferze hackerskiej senator zwołał posiedzenie komisji i Colin został w stolicy dzień dłużej. A ponieważ śledztwo odciągało go od pracy nad traktatem, przedłużył pobyt w Los Angeles o tydzień.

Zarzekął się, że przyleci w niedzielę, ale w ostatniej chwili zadzwonił z informacją, że na wschodnim wybrzeżu szaleją burze i że odwołano wszystkie loty.

Rowena włączyła telewizję, by obejrzeć prognozę pogody. Gardziła sobą za to, że sprawdza kochanka, mimo to potem włączyła komputer, by potwierdzić status rejsów krajowych. Zachowywała się jak paranoiczka. Zaborcza kochanka. I to w związku z romanssem, który ma się wkrótce zakończyć.

Wreszcie, w poniedziałek po południu, Colin wsiadł do samolotu, ale dopóki na jej oczach nie wysiadł z limuzyny, nie wierzyła, że wróci. Nie wierzyła, że będzie mu się chciało lecieć tyle godzin, skoro pracę nad traktatem z powodzeniem dokończyłby w Waszyngtonie.

Czuła się jak zadurzona nastolatka. Serce waliło jej jak szalone, miała wypieki na policzkach. Chciała wybiec mu naprzeciw i rzucić się w jego ramiona. Resztką sił zmusiła się, by zaczekać, aż zapuka do drzwi. Otworzyła je i zdążyła tylko zobaczyć zarys ciemnej sylwetki i nastroszone włosy, kiedy jego usta niecierpliwie sięgnęły jej warg, a ręce pieściły ją nieprzytomnie. Tulił się do niej i całował jej szyję, chowając twarz w jej włosach. – Słodko pachniesz. Jesteś miękka jak jedwab. Dopiero kiedy stanąłem pod twoim domem, dotarło do mnie, jak bardzo za tobą tęskniłem.

- Naprawdę? - zapytała wzruszona.

Otulił jej twarz dłońmi.

- Nie. Skłamałem. Tęsknię za tobą, odkąd wyjechałaś z Waszyngtonu.

- Ja też za tobą tęskniłam. Dobrze, że zostajesz tydzień dłużej!

- A jeśli tydzień nie wystarczy?

- Będzie musiał.

- A jeśli zechcę więcej?

- Więcej? Czego więcej? - spytała zdezorientowana.

- Więcej ciebie, więcej nas.

Upłynęła długa minuta, zanim zrozumiała, co powiedział.

- Ile więcej? - zapytała.

- Nigdy tego nie chciałem. Nigdy nie chciałem zrobić następnego kroku. Nawet nie wiem, jaki jest ten następny krok. Wiem tylko, że tydzień mi nie wystarczy.

- Chcesz się ze mną spotykać?

- Czy to szalony pomysł? - zapytał, jakby sam nie był pewien.

- Przecież ci nie wolno. Najwyżej możesz sobie o mnie pomarzyć, zapomniałeś? Jeśli zależy ci na podpisaniu traktatu, lepiej nie ryzykować. Zresztą, co zrobisz? Przeprowadzisz się do Los Angeles?

- Na jakiś czas. Czemu nie?

- A potem? Wspominałeś o firmie ochroniarskiej?

- Przyjaciel ma biuro w Londynie i Nowym Jorku.

- Lekarze Dylana pracują w Los Angeles. Sam widzisz, że to nie jest proste. - Czy chciałoby im się tak komplikować życie dla kilku miesięcy dobrego seksu?

- Masz rację. To byłby koszmar pod względem logistyki. - Westchnął i usiadł na kanapie.

- I jeszcze musielibyśmy się ukrywać przed Dylanem, który już się do ciebie przywiązał. Mówi o tobie bez przerwy.

- Poważnie?

- Jesteś gotowy na taką odpowiedzialność?

Wyczytała z jego oczu, że nie.

- Widzisz? To dlatego nie umawiasz się z kobietami, które mają dzieci. Za duży ciężar. A mój jest ponadprzeciętnie duży.

- Chciałbym być na to gotowy albo przynajmniej wiedzieć, kiedy to nastąpi.

- Posłuchaj... Dajmy sobie trochę czasu. Wolę być przez jakiś czas sama. Zupełnie sama. Chcę stać się niezależna.

- Na pewno sobie poradzisz.

Zaczynała powoli w to wierzyć. Mimo że pragnęła niezależności, łatwo jej było wyobrazić sobie życie z Colinem. Nigdy dotąd nie spotkała tak fantastycznego faceta. Ale ona i Dylan stanowili jedno.

- Ach! - przypomniał sobie nagle. - Zapomniałem ci powiedzieć, że telefonował do mnie Hayden Black.

- Ten detektyw kryminalny?

- Ma prowadzić śledztwo w sprawie afery hackerskiej w ANS. Pytał, czy mam dla niego jakiś informacje.

- I co? Miałeś?

- Nic, o czym by nie wiedział. Senator przekazał mu płytę. Dobrze, że tą sprawą zajmie się profesjonalista.

- Chciałam ci coś pokazać. Podczas twojej nieobecności zaszły u nas pewne zmiany. - Wzięła go pod rękę i zaprowadziła do pokoju Dylana. Wejście i wyjście z sypialni uniemożliwiała specjalna bramka. Światło z korytarza padało na chłopczyka, który spał na materacu, leżącym na podłodze.

- Zrobiłaś to - szepnął Colin.

- Żałuj, że nie widziałeś, jak się ucieszył. Wybrał sobie nową pościel. W wyścigówki.

- Czyli miałem dobry pomysł? - Przytulił ją i pocałował.

Wolała, by nie zachowywał się w ten sposób, bo zrobiło się... rodzinie. Na dodatek pachniał tak cudownie, że miała ochotę go

zjeść.

- Idealny. Jeśli sobie poradzi ze spaniem na materacu, wybierzemy ramę i przetestujemy spanie w łóżku.

- Po drugiej stronie korytarza jest inne łóżko, które bardzo chciałbym przetestować - wyszeptał, całując jej szyję.

- Kiedy wraca ojciec?

- Dopiero jutro. Wyjdę stąd w środku nocy.

Stała na palcach i pocałowała go w usta. Ależ między nimi iskrzy!

Colin obudził się z dziwnym uczuciem, że ktoś mu się przygląda. Otworzył oczy i niemal skoczył jak oparzony, kiedy w odległości kilku centymetrów zobaczył uśmiechniętą buzię Dylana.

- Cześć, Kołin.

Zegar wskazywał siódmą trzydzieści. Cholera jasna. Nie tak miał wyglądać ten poranek.

- Cześć, kolego! Dlaczego nie jesteś w łóżku? I jak wyszedłeś z pokoju?

- Pskocylem! - obwieścił z dumą.

Jasne. Skoro pokonał szczebelki łóżeczka, dlaczego miałby sobie nie poradzić z bramką?

- Houston, mamy problem. - Colin szarpał Rowenę za ramię.

Wymamrotała coś na znak sprzeciwu. Nic dziwnego. W końcu zasnęli cztery godziny temu.

- Obudź się! Musisz to zobaczyć.

- Za wcześnie - powiedziała, nie otwierając oczu.

- Mamy towarzystwo.

- Jakie... - Przetarła oczy i wsparła się na łokciach.

Otworzyła oczy i wyskoczyła z łóżka z prędkością błyskawicy.

- Dylan, dlaczego nie jesteś w swoim pokoju?

- Przeskoczył bramkę - wyjaśnił Colin.

Bużkę Dylana rozświetlił szeroki uśmiech.

- Ja jestem duży.

Rowena chyba przypomniała sobie, że krzyk na nic się nie zda, bo wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się sztucznie.

- Tak, skarbie. Jesteś duży. Idź obejrzyj bajkę w telewizji, a mamusia się ubierze.

- Dobrze.

Kiedy zniknął za drzwiami, opadła na poduszkę.

- Cholera jasna!

- Przepraszam. To moja wina. Byłem zmęczony podróżą i zasnąłem. Czuję się okropnie.

- Nie możemy mu tego robić.

- Wiem. Przepraszam.

- Od tej pory spotykamy się wyłącznie przy basenie.

- Oczywiście. Jesteś na mnie zła?

- To również moja wina. Może nawet bardziej. Powinnam była wstać i sprawdzić, co u niego. Teraz musimy cię stąd wyekspediować.

- Dobrze, ale najpierw chciałem ci coś powiedzieć... Jako że nie możesz być moją oficjalną partnerką w sobotę, pomyślałem, że moglibyśmy odegrać mały teatrzyk. Udawalibyśmy, że się nie lubimy, a potem wymknęlibyśmy się chyłkiem i skradli trochę czasu dla siebie. Co ty na to?

- O czym mówisz? Co jest w sobotę?

- Twój ojciec wydaje doroczny bal.

- Ach, zupełnie zapomniałam!

- Zatańczysz ze mną?

- Z przyjemnością. Problem w tym, że mnie tam nie będzie.

- Nie będzie cię?

- Będę w podróży.

Co takiego? Nic nie wspominała o wyjeździe.

- Dokąd się wybierasz?

- Albo będę miała grypę.

Grypę? Przecież dopiero wyzdrowiała!

- Nie rozumiem.

- W związku z moim skandalicznym zachowaniem na przyjęciach zostałam raz na zawsze usunięta z listy gości. Trzy lata temu byłam w ciąży, więc musiałam odpoczywać. Dwa lata temu opiekowałam się Dylanem, który złapał fatalne przeziębienie. W zeszłym roku... - Zmarszczyła nos. - O, przypominałam sobie. W zeszłym roku odwiedzałam chorą przyjaciółkę.

- Czy to nie cudowny zbieg okoliczności, że każda z tych wymówek stawia cię w korzystnym świetle?

- To głupia formalność, bo każdy wie, dlaczego mnie tam nie ma. Od lat nie pokazuję się publicznie. Ludzie pewnie myślą, że wciąż piję. Albo zapomnieli o moim istnieniu. Przynajmniej senator ma taką nadzieję.

- A czego on się boi? Że co zrobisz?

- Mogę powiedzieć jakiś sprośny żart w doborowym towarzystwie. Albo odpłynąć na perskim dywanie. Podczas tańca mogę zachować się zbyt wylewnie wobec syna ambasadora. Albo, uważaj, to mój ulubiony psikus, wyłączyć podwójne martini na wiceprezydenta.

- Brzmi to, jakbyś była duszą towarzystwa.

- Byłam chodzącym i mówiącym, a czasem bełkoczącym przykładem tego, jak nie należy się zachowywać podczas przyjęć dyplomatycznych. Naprawdę nie mogę go winić za to, że nie chce mnie tam widzieć.

Ktoś zastukał do drzwi apartamentu.

- To pewnie Betty - rzekła Rowena. - Dylan otworzy.

Po chwili rozległ się niski głos, który absolutnie nie mógł należeć do Betty, chyba że rozpoczęła intensywną terapię hormonalną.

- Dziadek! - zawołał Dylan.

Rowena spojrzała na Colina.

- Schowaj się - syknęła przestraszona.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Ale gdzie? - zapytał.

- Gdzieś. - Poderwała się i zarzuciła na siebie szlafrok. Desperacko próbowała sobie przypomnieć, czy zostawili na podłodze w salonie niezbite dowody grzechu. - W łazience. Albo pod łóżkiem. Gdziekolwiek!

Wychodząc z pokoju, zamknęła drzwi. Nie miała pojęcia, po co ojciec miałby zaglądać do sypialni, ale wolała nie ryzykować.

Siedział na kanapie i trzymał wnuka na kolanach. Dylan żywo mu o czymś opowiadał.

- Dzień dobry - powiedziała, udając ziewanie. - Zdawało mi się, że ktoś wszedł.

- Dylan pokazał mi bliznę. Szybko się goi. Szczęście, że Colin się nim wtedy zajął.

- No jasne. - Rowena uśmiechnęła się do Dylana. Nagle zastygła. A jeśli Dylan opowie dziadkowi inne rzeczy o Colinie, na przykład, że dziś rano leżał w łóżku mamusi?

Ledwie o tym pomyślała, Dylan zaszczębiotał:

- Colin być mój tatuś.

- Twój tatuś? - Senator spojrzał na Rowenę.

- Dylan. - Miała nadzieję, że jej głos brzmi spokojnie, a nie jakby lada moment miała dostać palpacji. - Przecież mamusia już ci tłumaczyła. Colin opatrzył ci ranę, ale to nie znaczy, że będzie twoim tatusiem.

- On tu śpi! - Malec nie dawał za wygraną.

A niech to. Trzeba natychmiast coś wymyślić.

- Tak, kochanie. Śpi w domu dziadzia. Pracują razem, pamiętasz?

- I zanim Dylan zdążył odpowiedzieć, dodała: - Umyj szybko ząbki i pościel łóżko. Potem mamusia cię wykąpie.

- Dobrze. - Pocałował dziadka w policzek i poczłapał do swego pokoju.

- Troszkę się zaspalo - zauważył cierpko ojciec.

- Dopiero siódma trzydzieści.

- Nie sądzisz, że Dylan jest jeszcze za mały, żeby tak się szwendać po domu bez opieki?

- Szwendać? Mówisz o nim jak o psie.

- Wiesz, o co mi chodzi. A jakby zrobił sobie krzywdę?

Miała już dość ciągłego usprawiedliwiania się. Tak jakby on był idealnym ojcem!

- Obudził się pięć minut temu. Wkładałam szlafrok, kiedy zapukałeś.

- Chciałbym się z tobą spotkać w tym tygodniu, żeby omówić menu przedszkolne.

- Co omówić?

- Menu, jakie proponujesz dzieciom. Zwłaszcza przekąski.

- Coś z nimi nie tak?

- Powinny być zdrowsze. Więcej pełnego ziarna, nieprzetworzonego cukru, odtłuszczonego mleka.

Ejże, a może coś, co dzieci lubią jeść?

- Nie chcę, żeby na dzień przed wyborami jakaś zakręcona mamusia zarzuciła mi, że truję dzieci niezdrową dietą - sarknął.

- Proponowałam ci kiedyś, żeby przejść na żywność ekologiczną, ale twierdziłeś wtedy, że jest za droga.

- W takim razie musisz ograniczyć budżet w innych sektorach. Margaret ustali z tobą datę spotkania.

- Okej.

Potem rzucił jeszcze kilka niewybrednych komentarzy na temat jej bałaganarstwa i nieodpowiedniego podejścia do dzieci. Na przykład jeśli teraz nie nauczy Dylana sprzątać po sobie zabawek, zamieni się w rozpieszczzonego bachora, jakim była ona. Potem

odwrócił się i wyszedł. Dlaczego zawsze po rozmowie z nim stawała się emocjonalnym wrakiem?

- Co to było? - Z sypialni wyszedł Colin. Włożył tylko spodnie. - On zawsze tak z tobą rozmawia? Takim pogardliwym tonem?

- Przy obcych zachowuje się inaczej, prawda?

- Mówi do ciebie jak do dziecka. Dlaczego nie powiesz mu, żeby się odczepił?

- Już ci mówiłam, jestem od niego zależna. Jest moim właścicielem.

- Może się mylę, ale niewolnictwo zostało zniesione w czasie prezydentury Lincolna. W 1864 roku, o ile pamiętam.

- W 1865. Ale on jest senatorem. Te zasady go nie dotyczą.

- Mam pomysł. Powinnaś zrobić jedną rzecz. - Uśmiechnął się tajemniczo. - Wręcz musisz ją zrobić.

- Co?

Kiedy odpowiedział, nie mogła pohamować śmiechu.

- Ale po co?

- Fajnie czasem się zbuntować. Sama wiesz najlepiej. - Mrugnął do niej znacząco. - Senator mnie wkurzył. Chcę zobaczyć, jak będzie się skręcał ze złości.

- Nie wydaje ci się, że to dziecinny pomysł?

- I co z tego? Będzie niezły ubaw.

To pewne, że czeka ich niezły ubaw: patrzeć, jak ojciec oszaleje z wściekłości.

- Dobrze - zgodziła się. - Zróbmy to.

Wieczorem, o ósmej trzydzieści krytycznie oceniła swe odbicie w lustrze. Musiała przyznać, że wygląda seksownie. Mocny makijaż, czerwone paznokcie, wysoko upięte włosy (to misterne uczesanie zajęło jej prawie godzinę) i wreszcie nieśmiertelna mała czarna. Wbiła się w nią wyłącznie dzięki halce wyszczuplającej. Chwała

Panu za ten zbawienny wynalazek.

Do tego włożyła sandaunki na szpilce (których paseczki od razu zaczęły się niemiłosiernie wżynać w palce). Włosy spryskała lakierem, a na twarz nałożyła podkład najnowszej generacji, który nie tylko zapewniał nieskazitelny blask, ale przede wszystkim tuszował piegi. Na koniec pociągnęła usta czerwonym błyszczkiem, wzięła głęboki oddech na uspokojenie nerwów i energicznym gestem chwyciła kopertówkę.

- No i jak? - zapytała, wchodząc do salonu.

Betty oderwała wzrok od telewizora i oniemiała.

- Roweno, wyglądasz jak księżniczka!

- Poważnie?

- Najpoważniej! Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Colin ma rację. To mi dobrze zrobi. Będę walczyć o niezależność, bo inaczej skończę w pokoju bez klamek. Mam dość tego, że ojciec traktuje mnie jak swój wstydlivy sekret. Dlatego spróbowałam spojrzeć na naszą relację z boku.

- I co zobaczyłaś?

- Pogardę, brak szacunku, lekceważenie. A przecież jestem jego córką. Podejrzewam, że gdzieś w głębi serca mnie kocha, ale mnie nie lubi. I wiesz co? Ja jego też.

- Nie da się go lubić. - Betty wstała z kanapy i przytuliła Rowenę.

- Ty za to jesteś słodka, dobra. I silniejsza, niż ci się wydaje.

Rowena przygryzła wargę i pociągnęła nosem.

- Mów tak dalej, a się rozplączę i zniszczę makijaż.

- Kocham cię, skarbie. - Betty pocałowała ją w policzek. - Baw się dobrze na balu, księżniczko.

- Postaram się.

Drżąc ze zdenerwowania, wyszła z apartamentu i ostrożnie zeszła na dół. Od lat nie nosiła szpilek. Wolała nie zaczynać wielkiego come backu na salony od spektakularnego upadku ze schodów.

Nerwowo szukała wzrokiem Colina.

- Rowena! - usłyszała czyjś głos, kiedy wreszcie bezpiecznie postawiła stopę na marmurowej posadzce foyer.

- Kongresmen Richards! Dobry wieczór - zawołała na widok starego przyjaciela ojca i nastawiła policzek do pocałunku. - Tak miło pana widzieć.

- Wyglądasz oszałamiająco. To chyba przez to kalifornijskie słońce.

- Bez wątpienia.

- Ojciec wspominał, że źle się czujesz.

- Już zdecydowanie lepiej.

- Pamiętasz moją żonę, Carole? - zapytał, wskazując na stojącą obok matronę.

- Oczywiście. - Nachyliła się do niej i posłała pocałunek w powietrze. Nigdy nie lubiła tej żoły. - Miło mi.

- Rowena, wyglądasz zniewalająco! - zachwycała się pani Richards. - A jak się ma twój przeuroczy synek? Pewnie już duży?

No dobrze, może nie jest aż tak żółowata.

- Dziękuję, bardzo dobrze. Ma dwa i pół roku.

- Dzieci tak szybko rosną! - Za szybko. - Pamiętasz, moją przyjaciółkę, Susie? - Chwyciła Rowenę pod ramię i zaprowadziła w głąb sali.

Przez następne piętnaście minut goście przekazywali ją sobie z rąk do rąk. Politycy, aktorzy, producenci i muzycy. Śmietanka Kalifornii. I, o dziwo, każdy zdawał się cieszyć z jej obecności. Nie było krzywych spojrzeń, szeptów za plecami... Zachowywali się tak, jakby należała do ich towarzystwa. Brakowało jej tylko tej jednej osoby, dla której tu przyszła.

- Cześć, bogini piękności! - dobiegł ją cichy głos Colina. W smokingu, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami, wyglądał jak prawdziwy hrabia. Przecież nim był, w istocie!

- Pan Middlebury. - W dystyngowany sposób skinęła głową i podała mu dłoń. Niewiele brakowało, a rzuciłaby mu się w ramiona. - Wyglądasz czarująco!

Chwytał jej rękę, ale nie potrząsnął nią, tylko pocałował, kłaniając się lekko.

- A ty wprost zjawiskowo.

- Trochę się postarałam.

Nagle w salonie powiało chłodem. Rowena, nie odwracając głowy, wiedziała, że nadchodzi szanowny senator Tate. Wzięła głęboki oddech. Gotowi? Zaczynamy!

- Rowena, kochanie, co tutaj robisz? - Jego głos zabrzmiał słodko, ale spojrzenie mówiło: „Co ty mi tu, do licha, wyprawiasz?”.

- Cześć, tatusiu - odparła równie przesłodzonym głosem w nadziei, że zdoła ukryć strach. - Nie chciałam tracić kolejnego balu. - Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Starła się nie wzdrygnąć, kiedy pocałował ją w policzek.

Wziął ją pod ramię, mocno zaciskając na nim palce.

- Powinnaś leżeć.

- Już mi lepiej. - Wyrwała rękę z jego uścisku. - To był zwykły ból głowy.

- Właśnie mówiłem, że twoja córka wygląda dziś przepięknie - odezwał się Colin.

Rowena posłała mu promienny uśmiech.

- Bo na co dzień wyglądam jak troll.

- Roweno! - upomniał ją szorstko senator.

Colin się roześmiał.

- Nic się nie stało, senatorze. To taka nasza gra. Ja ją komplementuję, a ona mi dogryza. Przednia zabawa.

Rowena spojrzała na niego krzywo.

- Zatańczymy? - zaproponował Colin i zanim zdążyła otworzyć usta, senator pospieszył z odpowiedzią.

- Rowena zatańczy z przyjemnością.

Sądził, że w ten sposób zrobi jej na złość. Chciał jej pokazać, kto tu rozdaje karty.

Colin podał ramię Rowenie. Patrzyła na niego z wahaniem, choć w rzeczywistości nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znajdzie się w jego ramionach. Czekala na ten taniec cały dzień.

- Nieźle ci idzie. Mało brakowało, a pomyślałbym, że mnie nie znosisz - szeptał jej do ucha, gdy tańczyli.

- Nie cierpię zniżać się do jego poziomu.

- Świetnie sobie radzisz.

- I to mnie właśnie przeraża. Nie chcę być taka jak on.

- Spójrz na niego. Zaraz wyjdzie z siebie. Warto było.

- Aha. Dopóki nie pęknie mu żyłka.

- Nie przejmuj się nim. Ty jesteś najważniejsza. Dobrze się bawisz?

- Wyśmienicie.

- Tylko to się liczy. - Zerknął na zaczerwienienie na jej ramieniu w miejscu, gdzie ojciec wbił paznokcie. - Zrobił ci siniaka!

- Mam wrażliwą skórę. Naprawdę - dodała, gdy spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Co za drań.

- To też prawda. Następnym razem chlusnę mu drinkiem w twarz.

- Przecież ty nie pijesz.

- Bezalkoholowym. Efekt chyba będzie ten sam? - Patrzyła na niego i mimowolnie się uśmiechnęła. - Z tobą czuję się szczęśliwa. - Uniósł znacząco brwi, więc szybko się poprawiła. - To znaczy, z sobą.

- I bardzo dobrze. Jesteś wyjątkowa. Wszyscy to widzą. Wszyscy oprócz twojego ojca. Jaki z tego wniosek?

Że może czas przestać go słuchać?

- Sądziś, że ktoś zauważy, jeśli teraz przygryzę ci ucho? -

szepnął. - Albo złapię za tyłek?

- Znam takie miejsce, gdzie nikt tego nie zauważy.

Już nie mógł się doczekać.

- Drzwi w drugiej części sali prowadzą na balkon. Po prawej jest ciemny kącik, za wielkim drzewem w donicy - poinstruowała go. -

Za pięć minut?

- Oczywiście!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Colin podszedł do baru i zamówił napój imbirowy. Przyrzekł sobie, że dopóki jest z Roweną, nie tknie alkoholu. Szanował jej decyzję o abstynencji. Domyślał się, że wytrwanie w tym postanowieniu musi być dla niej trudne. Wziął napój do ręki, poprawił kołnierzyk u koszuli, jakby nagle zrobiło się gorąco, i wyszedł na balkon.

Chłodne powietrze nie zachęcało gości do korzystania z uroków imprezowania pod gołym niebem. Colin przechadzał się wzdłuż balustrady, patrząc na spowity mrokiem ogród. Mimo ciemności dostrzegł zarys przedszkola przy niewielkim wzgórzu, basen i letni domek. Doszedł wreszcie do drzewka w donicy i przystanął. Zza krzaka wyłoniło się smukłe ramię, czyjaś dłoń zacisnęła się na jego barku i szarpnęła.

- Ktoś cię widział?

- Chyba nie. - Odstawił szklanekę na balustradzie i wziął Rowenę w ramiona.

- Wspomnę tylko - mruknęła, nie odrywając od niego ust - że nie mam na sobie majtek.

Jęknął podniecony i złapał ją za pośladki. Będzie musiał poszukać bardziej ustronnego miejsca na randkę.

- Czy ja państwu w czymś nie przeszkadzam?

Odskoczyli od siebie jak oparzeni. Po tubalnym głosie i sylwetce rozpoznali senatora. Colin przeklął pod nosem.

- Owszem, przeszkadzasz - odezwała się Rowena aroganckim tonem, którego Colin u niej nie słyszał. - Może byś sobie stąd poszedł.

- Znów zaczynasz, Roweno - zagrzemiał senator.

- Senatorze - odezwał się Colin - wszystko wyjaśnię...

- Zamknij się wreszcie - syknęła Rowena. - Wy, Angole, wszyscy

jesteście tacy sami. Dużo mówicie, mało robicie. – Wskazała ostentacyjnie na jego rozporek. – Nic nie robicie. Widać niektórym alkohol szkodzi.

Co ona, do cholery, wyprawia?

– Rowena? – Colin był w szoku.

– Po co w ogóle zwracałam sobie tym czymś głowę?

Już miała odejść, gdy ojciec chwycił ją za rękę.

– Chyba nie sądziłaś, że cię spuszczę ze smyczy? Kazałem cię obserwować.

Niech to szlag. Colin nie przypuszczał, że senator posunie się tak daleko.

– I nie zaskoczyło mnie twoje zachowanie. – Senator prychnął z pogardą.

– Należą mi się punkty za wytrwałość. – Chwyciła szklanę z napojem i chciała go wyminąć, ale on znów złapał ją za ramię. Skrzywiła się z bólu.

– Czy mam się spodziewać kolejnego nieślubnego wnuka?

Colin poczuł, jak wzbiera w nim złość. Już miał przyłożyć szanownemu senatorowi, kiedy Rowena pewnym gestem chlusnęła mu drinkiem w twarz.

Senator wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki, przeklinając niewybrednie. Rozejrzał się dookoła, czy nikt nie był świadkiem jego upokorzenia. Jak na złość, nikogo nie było w pobliżu.

– Na wypadek gdybyś nie zrozumiał, odpowiedź brzmi nie – zawołała na odchodne.

Gdy zniknęła, senator zwrócił się do Colina.

– Najmocniej przepraszam za tę awanturę. Jak widzisz, moja córka nie potrafi nad sobą zapanować.

– Senatorze, ja...

– Proszę nie przepraszać. To nie twoja wina. Rowena jest zupełnie nieprzewidywalna.

Colin domyślał się, po co Rowena urządziła tę szopkę. Odciągnęła uwagę senatora od jego osoby, biorąc na siebie winę za randkę. A wszystko po to, by ratować ten przeklęty traktat.

- Senatorze, musimy porozmawiać...

- Jutro, synu.

Colin skrzywił się, słysząc słowo „syn”.

- Wybacz - ciągnął - muszę wracać do gości. Porozmawiamy jutro. Mam dobre wieści w sprawie śledztwa. - Poklepał go po ramieniu, jakby byli najlepszymi kumplami.

To niewiarygodne, jak ten człowiek się zmienia. Jest jak doktor Jekyll i pan Hyde. Potrafił tak pokierować sytuacją, że mimo jego chamskiego zachowania to Rowena wychodziła na niezrównoważoną niewdzięcznicę. Prawdziwy mistrz manipulacji. Colin miał go dosyć.

Pobiegł na górę do apartamentu Roweny. Drzwi otworzyła Betty.

- Cześć, Colin. Jak przyjęcie?

To ona nic nie wie?

- Gdzie Rowena?

- Na dole. Nie ma jej? - spytała zdezorientowana.

- Nie. Myślałem, że tu przyszła.

- Coś się stało?

- Drobną różnicą zdań między nią a senatorem.

- Rany boskie! - Betty przycisnęła dłoń do piersi.

- Ojciec rzucił jej w twarz epitety, a ona oblała go napojem imbirowym.

Betty wytrzeszczyła oczy i wykrzyknęła:

- Dobry Boże! Co ją opętało? Choć żałuję, że tego nie widziałam.

- Senator przyłapał nas w niedwuznacznej sytuacji. Rowena wybrała rolę kozła ofiarnego, żeby mnie ratować. Po awanturze uciekła. Myślałem, że wróciła do siebie.

- Dzwoniłeś do niej na komórkę?

Wyciągnął telefon, wybrał jej numer, ale odezwała się poczta głosowa. Chwilę później dostał esemesa.

„Poproś Betty, żeby została z Dylanem na noc. R”.

- Chce, żebyś została z Dylanem na noc.

- Nie ma sprawy.

Colin wysłał jej wiadomość: „B się zgodziła. Gdzie jesteś?”

„Pogadamy rano”.

Wysłał jej jeszcze jedną wiadomość z pytaniem, czy nie potrzebuje pomocy, ale nie dostał już odpowiedzi. Chciał z nią porozmawiać, wyjaśnić, że nie musi go chronić, że to zamieszanie to jego wina, bo to on namówił ją na tę maskaradę. To jego pomysł, by zabawić się kosztem senatora.

- Idę się przespać - poinformował Betty. - Jeśli będziesz miała wiadomość od Roweny, od razu mnie obudź.

- Dobrze. - Betty skwapliwie pokiwała głową.

Rankiem o ósmej obudził go telefon. Colin poderwał się w nadziei, że to Rowena.

- Wracamy do Waszyngtonu. - W słuchawce zagrzmiał głos senatora. - Tam dokończymy prace nad traktatem.

- Dlaczego?

- Zobowiązania. Na jutro rano zwołałem posiedzenie komisji.

Zobowiązania? Nie mógł wymyślić czegoś lepszego? Colin znał prawdziwy powód tego nagłego wyjazdu: on i Rowena.

- Zarezerwuję bilety.

- Już to zrobiłem. Za godzinę samochód zabierze cię na lotnisko - oznajmił senator. - Wyślę ci kogoś do pomocy w pakowaniu.

- Będę gotów. - Colin rozłączył się i poszedł wprost do apartamentu Roweny. Miał jeszcze chwilę na rozmowę.

W korytarzu natknął się na Betty.

- I co? Wróciła?

- Niestety, już wyszła. - Betty pokręciła głową.
- Jak to?
- Wpadła tylko na chwilę, żeby zabrać trochę ubrań dla siebie i Dylana.

- Mówiła, dokąd jedzie?
- Tylko tyle, że zostanie u znajomych.
- Jakich znajomych?

Betty wzruszyła ramionami.

- Przykro mi, ale nie wiem.

Miał wrażenie, że Betty go okłamuje, ale wiedział, że więcej się nie dowie. Betty była lojalna wobec Roweny i żadne prośby czy groźby by tego nie zmieniły. Wrócił więc do siebie, i wtedy przyszedł mejl od Roweny.

„Colin, przepraszam za wczorajszy wieczór. Wiem, że moje zachowanie wydaje Ci się dziwne, ale nie miałam wyboru. Przyznaję, że wylanie na niego drinka miało działanie terapeutyczne. Na pewno skuteczniejsze niż rok leżenia na kozetce. Chcę, żebyś wiedział, że niczego nie żałuję. Pragnę Ci podziękować. Gdyby nie Ty, nie miałabym odwagi zrobić tego, co zrobiłam. Zawsze będę Ci wdzięczna. Dziś nadszedł koniec naszej drogi. Oboje wiedzieliśmy, że to wkrótce nastąpi. Było mi z Tobą cudownie i będę za Tobą tęsknić. Dylan też. Dziękuję za to, że byłeś radością naszego życia. Dziękuję Ci za pomoc w odnalezieniu siły i odwagi do rozpoczęcia nowego życia.

Ucałowania, Rowena”.

Telefon z hukiem wylądował na stole.

Ucałowania? Rzuciła go mejlowo? I na koniec przesłała mu „ucałowania”?

Może miała rację? Może to był najlepszy moment na zakończenie romansu. Może była wreszcie gotowa otworzyć się na nowe

możliwości, nowe przyjaźnie. Na mężczyznę, który da jej to, na co jego nie było stać?

A jeśli go stać? Jeśli on byłby tym mężczyzną? Czy jest wreszcie gotów?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W poniedziałek rano Rowena pakowała zabawki w sypialni Dylana, kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi. Spodziewała się Tricii, która miała przynieść nowe pudła. W lustrze stojącym na toalecie zobaczyła, jak do jej apartamentu wchodzi ojciec.

- Dlaczego nie jesteś w pracy? - warknął.

- Dzień dobry, tato. Mnie też miło cię widzieć.

Rzucił okiem na stojące w korytarzu pudła.

- Co to ma znaczyć? Co ty wyprawiasz?

- Pakuję się.

- Po co?

- Dylan i ja się wyprowadzamy.

- Ani mi się waż.

- Nie rozkazuj mi. Mam już dość mieszkania pod twoim dachem. Mam dość tego, że traktujesz mnie jak śmiecia. Od dziś biorę odpowiedzialność za siebie i za syna.

- I jak ty sobie to wyobrażasz? - Na jego twarzy błędnym szyderczy uśmiech. - Skąd weźmiesz pieniądze? Jak zapłacisz za leczenie? Gdzie będziecie mieszkać?

- Dostałam posadę dyrektora przedszkola. Niewiele płacą, niewiele mam oszczędności, dlatego na razie będę mieszkać u Tricii. Jeśli chodzi o wydatki na leczenie Dylana, to mam na tyle niskie dochody, że kwalifikuję się do pomocy opieki społecznej. Lekarze zgodzili się, żebym płaciła za terapię Dylana w ratach.

- Nie pozwolę, żeby moja córka korzystała z opieki społecznej - wybuchnął. - Po moim trupie.

- Możesz sobie zabraniać, ile chcesz. Byłam twoim więźniem, ale teraz jestem wolna. Od dziś sama kieruję swoim życiem.

- Nie masz pojęcia, jak to robić.

- Jestem mądrzejsza i bardziej zaradna, niż ci się wydaje. Zrobiłeś wszystko, żeby mnie wpędzić w depresję. Prawie ci się udało.

- Przecież mnie potrzebujesz. Dylan mnie potrzebuje.

- Nie, dopóki mamy siebie i przyjaciół takich jak Tricia.

- Nie dasz rady sama go wychować. Dopilnuję, żeby ci go odebrano.

- Moja prawniczka mówi co innego. Nawet nie musiałam jej płacić. Zapewniła, że będzie mnie reprezentować z największą przyjemnością. Ale proszę, śmiało. Złóż pozew o odebranie mi praw rodzicielskich. Ona będzie wniebowzięta. Podczas ostatniej naszej rozmowy już układała pierwszy komunikat prasowy.

Wtedy coś w nim pękło. Przez chwilę zdawało jej się, że widzi w oczach ojca strach. Nie sądziła, że senator zna to uczucie.

- Widzisz? Nie tylko ty masz przyjaciół - dodała.

- Porozmawiamy o tym po moim powrocie z Waszyngtonu - odezwał się oschle.

- Nas już tu nie będzie. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś zobaczysz Dylana. Na pewno nie, jeśli się nie zmienisz.

- Co takiego? - krzyknął. - Jestem jego dziadkiem. Nie możesz mi go odebrać.

- Jestem jego matką i mogę go wychować, jak mi się podoba. Uważam, że masz na niego zły wpływ. Chcę, żeby się nauczył szacunku do kobiet. A przy tobie to niemożliwe. Pomiatasz mną nawet w jego obecności.

- Niech będzie. - Senator splótł ramiona na piersi. - Wygrałaś. Ile chcesz?

- Od ciebie? Nic.

- Każdy ma swoją cenę. Mów! Więcej kasy? Własny dom? Karty kredytowe bez limitu? Mów i przerwijmy już te wygłupy.

- Zrozum wreszcie. Nie chcę od ciebie nic. Nic! Już prędzej zamieszkać pod mostem i będę jeść resztki ze śmietnika, niż

przyjmę od ciebie choćby centa.

Ojciec stał oniemiały. Czyżby wreszcie do niego coś dotarło? Nie zmieni jej decyzji.

- Marnie, co? - Skrzywiła się. - Kiedy nie ma się na nic wpływu. Tak właśnie wyglądało moje życie przez ostatnie trzy lata.

- To ma być zemsta? Chcesz zobaczyć, jak cierpię? - wydusił wreszcie.

- Sam sobie zgotowałeś taki los. Popełniłam wiele błędów, ale za wszystkie zapłaciłam i przeprosiłam. Ty nigdy nie przeprosiłeś. Pewnie nawet nie czujesz się winny tych wszystkich świństw, jakich się w życiu dopuściłeś. Jak się nie pogodzisz z ludźmi, których zraniłeś, na starość zostaniesz sam jak palec. Zamienisz się w zgorzkniałego starucha, który nie ma rodziny ani przyjaciół. Powinnam cię nienawidzić, ale prawda jest taka, że mi ciebie żal.

- Jeszcze do mnie wrócisz. - Ojciec zbladł.

- Poczyszaj się tak dalej, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. - Ruszyła do drzwi.

- Rowena! - zawołał za nią. Zatrzymała się. - Nic nie rozumiesz. Zawsze byłaś niezależna. Tak jak matka.

- Aha. A ty starałaś się mnie przekonać, że to źle.

- Kochałem ją, ale moja miłość nie wystarczyła, dlatego odeszła. Potem ty zrobiłaś się dzika, narwana. Bałem się o ciebie. Odchodziłem od zmysłów, że zadzwonią ze szpitala albo z policji z wiadomością, że stało ci się coś złego. Albo że nie żyjesz. Wróciłaś jednak do mnie, z Dylanem... Bałem się, że znów cię stracę.

- Zaszczułeś mnie.

- Nie wiedziałem, jak z tobą postępować.

- W takim razie przyjedź do mnie, kiedy się dowiesz.

- Jeśli przyrzeknę, że się zmienię...

- Muszę to zrobić - przerwała mu. - Muszę przez jakiś czas być sama. Muszę sobie udowodnić, że dam radę.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebować...
- Nie zadzwonię do ciebie. Sama sobie poradzę.

Dwa dni później, kiedy Colin odbywał naradę z prawnikiem senatora w Waszyngtonie, zadzwoniła siostra.

- Chodzi o mamę - oznajmiła zapłakany głosem. - Miała wylew. Jest w śpiączce. Dają jej kilka dni życia.

- Będę jak najszybciej - odparł Colin.

Dwie godziny później był już na pokładzie prywatnego odrzutowca lecącego do Londynu. Miał wiele czasu na rozmyślenia. Myślał o Rowenie. O Dylanie. O tym, jak mu bez niej źle. Miał w życiu wiele kobiet, ale nigdy za żadną z nich nie tęsknił. Nigdy żadnej nie potrzebował. Teraz po kilkanaście razy dziennie sięgał po telefon, czasem nawet wystukiwał jej numer, ale nigdy nie zadzwonił. Urządzała sobie na nowo życie i nie miał prawa jej przeszkadzać, dopóki nie będzie wiedział na pewno, czego chce.

W Londynie od razu pojechał do matki. Żyła jeszcze. Wydała mu się taka stara i słaba. Próbował wykrzesać z siebie jakieś uczucia, które by mu uświadomiły, że właśnie w tej chwili traci matkę. Nie umiał. Nie czuł, że traci drogą sercu osobę. Widział w niej kobietę, która go urodziła, ale nigdy nie kochała.

Dzień po pogrzebie on i Matty wybrali się na przechadzkę do parku. Mżyło, ale pod drzewem znaleźli w miarę suchą ławeczkę.

- Wyjeżdżam, Matty - zaczął.

- Dlaczego? - zapytała. Wydała mu się teraz stara, smutna i samotna. Pękało mu serce. Pomyślał, że nie chce skończyć jak ona.

- Mam parę spraw do załatwienia w Waszyngtonie.

- Może ktoś cię zastąpi? Zostań ze mną w Londynie. Matka odeszła. Kim będę się teraz opiekować?

To nie był najlepszy argument. Po kilku dniach spędzonych z siostrą czuł się zmęczony. Była taka przyklepna i nieporadna.

Chciał, by wreszcie zaczęła żyć własnym życiem.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że gdybyś od czasu do czasu wyszła z domu, może byś kogoś poznała?

- Jestem na to za stara. - Zaśmiała się nerwowo, jakby to był niedorzeczny pomysł.

- Wcale nie jesteś stara. Wiem, że się boisz, ale musisz wyjść do ludzi, Matty.

- Kiedy wrócisz do domu?

Dla niej domem był Londyn. On spędził ostatnie dziesięć lat na walizkach. Dom był dla niego tam, gdzie akurat mieszkał. Wtedy po raz pierwszy w życiu pomyślał, że czas zapuścić korzenie. I kiedy się tak zastanawiał, gdzie byłby ten jego dom, przed oczami stanęła mu Rowena. Zamieszkałby z nią gdziekolwiek. W Londynie, w Los Angeles, w Waszyngtonie. To ona jest dla niego domem.

- Zaszła mała zmiana planów - oświadczył. - Zostaję w Stanach.

Zakryła dłonią usta, a potem położyła ją na sercu, jakby trawił je ból.

- Masz kłopoty?

- Tak i nie. Zakochałem się. - Te słowa tak lekko przeszły mu przez gardło, że to na pewno była prawda.

- W Amerykance?

- Tak. Ona jest Amerykanką. Mieszka w Kalifornii.

- Kto to?

- Córka senatora. Ma na imię Rowena.

- Ale Colin... przecież ty jej prawie nie znasz!

- Wiedziałem, że tego nie zrozumiesz. Sam nie wiem, jak to się stało, że się zakochałem. Chciałbym, żebyś życzyła mi szczęścia.

- Ależ oczywiście, że ci życzę szczęścia. Chodzi mi tylko o to, że... Tak niedawno miałeś wypadek. Jeszcze nie wróciłeś w pełni do sił. Jesteś pewien, że przemyślałeś tę decyzję?

Innymi słowy, wcale mu nie życzy szczęścia. To oczywiste, że nie

będzie pochwalać żadnej jego decyzji, która nie wiąże się bezpośrednio z jej osobą. Matty chciała go zatrzymać dla siebie. Był dla niej całym światem, ale przecież o to się nie prosił. Nie zamierzał poświęcać dla niej własnego szczęścia.

- Tak, przemyślałem - odparł zdecydowanie.

- A więc to poważna sprawa?

- Na tyle poważna, że chcę ją poprosić o rękę.

- Kiedy? - wykrztusiła.

- Wkrótce. - Najpierw, bagatela, musi ją odnaleźć.

- Ale czy ona też tego chce? A jeśli powie „nie”?

- To jeszcze raz poproszę. I potem jeszcze raz. Będę prosił tak długo, aż się zgodzi.

- Zawsze byłeś uparty. Jak sobie coś postanowiłeś, ciężko cię było od tego odwieść. Pamiętasz, jak kupiłeś ten potworny motocykl? Miałeś niecałe czternaście lat.

Mówiła, jakby się rozbijał po mieście na harleyu.

- Matty, to był zwykły skuter. Z ledwością wyciągał pięćdziesiąt na godzinę. Nie wszyscy lubią wozić tyłek rolls royce'em z osobistym szoferem.

- Chyba nie mam co liczyć, że w żyłach tej kobiety płynie choć kropla błękitnej krwi.

- O ile wiem, ani kropla. - Roześmiał się. Co jak co, ale pochodzenie nie miało dla niego znaczenia.

- Cóż, skoro tak się upierasz przy tym ślubie... Niech ona się przeprowadzi do Londynu.

- Ma syna. - Opowiedział o chorobie Dylana. - Ale na pewno chętnie odwiedzi Anglię kilka razy w roku. Ty też możesz się wybrać do Kalifornii.

- Colin, przecież wiesz, że się boję latać!

Czasami miał wrażenie, że to on powinien jej matkować.

- Matty, już to przerabialiśmy. Musisz coś z siebie dać.

- Wiem. - Westchnęła głośno. - Przepraszam. Jestem już stara i mam swoje przyzwyczajenia.

- Masz dopiero czterdzieści osiem lat. Nie jesteś staruszką. - Choć pewnie w ciągu lat spędzonych z matką nabrała takiego przeświadczenia. - Wiem, że ci ciężko, ale proszę, spróbuj się cieszyć moim szczęściem.

Po powrocie do domu siostry wyjął telefon i wybrał numer Haydena Blacka, detektywa, który badał aferę hackerską. W końcu jeśli zamierza poślubić Rowenę, najpierw musi ją znaleźć.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W sobotni poranek Dylan siedział przed telewizorem w malutkim salonie w mieszkaniu Tricii i oglądał ulubione kreskówki. W kuchni Rowena, jeszcze w piżamie, smażyła jajecznicę, a Tricia siedziała przy stole, pijąc kawę. Rowena stała do niej plecami, mimo to czuła na sobie jej badawcze spojrzenie.

- Przestań się wreszcie na mnie gapić!

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Tricia. - To przerażające.

- Po urodzeniu dziecka - Rowena zerknęła na nią przez ramię - kobietom na plecach wyrasta dodatkowa para oczu.

- Fuj, obrzydlistwo - wzdrygnęła się.

Rowena rozłożyła jajecznicę na talerzach, dodała bekon i wyciągnęła z piekarnika grzanki.

- Dylan, śniadanie!

- Śnianie! - zawołał i przybiegł do kuchni, a Rowena ani go nie skrzyczała, ani nie upomniała, by uważał.

Colin miał rację, powinna bardziej zaufać synowi. Niepotrzebnie trzymała go pod kloszem i bez przerwy kontrolowała, tak jak ją kiedyś ojciec. Dylan chciał być normalnym dzieckiem, żyć własnym życiem, eksperymentować i się bawić. Teraz mu na to pozwalała.

Usiedli przy stole. Rowena bezmyślnie dziobała widelcem jajka. Ostatnio jedzenie wcale jej nie smakowało.

- Nie musisz gotować wykwintnych posiłków - zagaiła Tricia.

- Masz na myśli jajka i bekon.

- No. Zawsze jem owsiankę.

- Lubię gotować.

Lubiła codzienne obowiązki, przed którymi do tej pory chronił ją ojciec. Po ich ostatniej rozmowie zaczynała rozumieć, dlaczego odciął ją od świata, dlaczego zamknął w rezydencji i tam

zorganizował dla niej życie. Była w tym jakaś narcystyczna potrzeba kontroli i dominacji, której źródło tkwiło w strachu przed utratą jedynej córki.

Mogła sobie tylko wyobrażać, jakie niebezpieczeństwo stanowił dla niego Colin. Mógł nie tylko mu ją odebrać, ale jeszcze wywieźć tysiące mil dalej. Dlatego mu kazał trzymać się od niej z daleka. Co za ironia, że im bardziej odgradzał ją od ludzi, tym bardziej ją do nich ciągnęło.

- Zjadłem, mam. - Dylan uśmiechnął się, pokazując pusty talerz. Ostatnio dopisywał mu apetyt. Wciąż był drobniutki, ale zaczynał doganiać rówieśników.

- Ubierz się i pościel łóżko - poleciała.

- Czy Dylan tęskni za Colinem?

- Wspomina go czasem.

- Chyba nie tylko on, co? Słyszałam, jak w nocy płakałaś.

- Przeziębiam się. - Na dowód pociągnęła nosem.

- Zadzwoń do niego.

- Nie mogę. Jeśli zechce ze mną porozmawiać, sam zadzwoni.

- Przecież to ty go rzuciłaś. On na pewno uważa, że nie życzysz sobie jego telefonów.

- Nie można rzucić kogoś, z kim się nie było.

Nie chciała teraz do niego wracać na kolanach. Ani błagać o miłość. Co to, to nie. Mimo że go kochała, i to z całego serca.

- Wybieram się z Dylanem do parku. - Rowena wyrzuciła nietkniętą jajecznicę do śmieci. - Idziesz z nami?

- Nie mogę. Mam robotę. - Tricia była ostatnio bardzo zajęta. Zastąpiła Rowenę na stanowisku dyrektora zarządzającego i zapisała się na studia zaoczne. Postanowiła sobie, że zdobędzie dyplom z pedagogiki.

Rowena polubiła nową pracę, a Dylan nowe przedszkole. Fajnie było codziennie wychodzić z domu i poznawać nowych ludzi. Ojciec

jednego z kolegów z grupy Dylana wyraźnie się nią interesował. Rozwodnik, dobrze sytuowany, przystojny. Chciał się z nią umówić na randkę, ale nie czuła się jeszcze gotowa.

Był też Rick, sąsiad Tricii. Lat dwadzieścia jeden. Fajny, ale nie dla niej. Rozprawiał o sztuce, poezji i europejskich filmach, tymczasem ona od trzech lat oglądała tylko kreskówki. Ot, szczawik z głową w chmurach.

Poszła do pokoju się ubrać. Rozległo się pukanie do drzwi. Jeśli to Rick, to Tricia go grzecznie spławi.

- Masz gościa - usłyszała głos przyjaciółki.

A więc zrobi to osobiście. Wyszła z sypialni i stanęła jak wryta. W salonie ujrzała Colina, a do jego kolan tulił się Dylan.

- Kołin psyjechał - oznajmił Dylan.

- Widzę. - Uśmiechnęła się blado. Miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

- Chodź, Dylan - rzekła Tricia. - Idziemy do parku.

- Ja kce Kołina. - Chłopiec wykrzywił buźkę.

- Później, skarbie. Mamusia musi teraz porozmawiać z Colinem.

- Dobrze - zgodził się niechętnie. - Pa, pa, Kołin.

- Do zobaczenia. - Colin pomachał mu na do widzenia.

Gdy Tricia z Dylanem wyszli, podszedł do niej. Wyglądał apetycznie w spranych dżinsach i białej luźnej koszuli. Zapuścił trochę włosy i brodę - musiał się nie golić od dobrych kilku dni.

- Jak mnie znalazłeś?

- Miałem wynająć Haydena Blacka.

- Prywatnego detektywa? - Chyba naprawdę mu zależy.

- Ale w końcu skontaktowałem się z twoim ojcem i powiedziałem mu prawdę.

- Dlaczego? Ryzykowałeś zerwanie prac nad traktatem!

- Żaden traktat nie jest wart utraty ukochanej kobiety.

- Co powiedziałaś?

- Kocham cię, Rowena.

- Naprawdę?

- Uwierz mi. Staralem się nie zakochać. Wmawiałem sobie, że mi przejdzie, ale nie przeszło. Nigdy z nikim nie byłem tak szczęśliwy. I nigdy za nikim nie tęskniłem tak jak za tobą i Dylanem.

- Tęskniłeś za Dylanem?

- Nie mam pojęcia, jak być dobrym ojcem ani mężem, ale chcę spróbować. I obiecuję próbować tak długo, aż mi się w końcu uda.

Jej serce waliło coraz szybciej. Czy to się dzieje naprawdę? Czy facet, w którym się zakochała na zabój, właśnie wyznał jej miłość? Czy to sen?

- Spóźniłem się? - spytał zmieszany.

- Nie. Kocham cię, Colin. Tak mi było źle bez ciebie.

- Nawet w połowie nie tak jak mnie. - Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Tak się o was martwiłem. Czy niczego wam nie brakuje...

- Szczerze mówiąc, przeraża mnie życie na własny rachunek, ale z drugiej strony... uwielbiam to. Sprawia mi radość chodzenie do pracy, płacenie rachunków, zakupy w supermarkecie. Sama podejmuję decyzje i nie muszę się konsultować z ojcem. Lubię stać w korkach, tankować i mnóstwo innych zwykłych rzeczy. Przez to czuję się... normalna.

- Zdaje się, że jesteś szczęśliwa.

- I to jak!

- Znajdzie się trochę miejsca dla mnie?

- Jasne! - Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku.

- Wyjdź za mnie.

- Nie.

- Co? - Był pewien, że się przesłyszał.

- Ale to nie jest ostateczna odpowiedź - dodała szybko. - Po prostu chcę trochę pobyć sama. Zresztą gdzie byśmy zamieszkali?

Nie wyjadę z Kalifornii.

- Nie musisz. Przyjaciel otwiera filię firmy ochroniarskiej na zachodnim wybrzeżu. Chce, żebym się tym zajął.

- Gdzie konkretnie?

- W San Diego.

- Poważnie?

- Zaczynam od czerwca. To mi daje jeszcze trochę czasu na dopracowanie traktatu.

- To... super.

- A więc jak? Wyjdiesz za mnie?

Pokręciła głową.

- Ale będziemy się umawiać na randki. W końcu jeszcze tego nie próbowaliśmy. Zrobmy to krok po kroku. Jak zwykła para.

- Czy to będzie niezwykle, jeśli na naszej pierwszej oficjalnej randce wybierzemy obrączki?

- Trochę tak.

- Ale wyjdiesz w końcu za mnie?

- Dlaczego nie?

- Będę mógł adoptować Dylana?

Do oczu napłynęły jej łzy.

- Będziesz musiał zapytać Dylana, ale jestem pewna, że się zgodzi.

- To kiedy zaczynamy te randki? Masz dziś czas na lunch? I w każdy kolejny dzień do końca życia?

- Zaczniemy od dziś, a potem zobaczymy.

Na pierwszej randce zjedli lunch. Na drugiej poszli do kina. Na trzeciej pojechali do San Diego. Na czwartej zabrali Dylana na wycieczkę do Disneylandu.

Na randce numer pięć udali się do jubilera. A gdy wreszcie wybrali obrączki, Rowena powiedziała „tak”. Dylan też powiedział „tak”, kiedy Colin zapytał, czy może zostać jego tatą.

Tytuł oryginału: Bedroom Diplomacy
Pierwsze wydanie: Harlequin Desire, 2013
Redaktor serii: Ewa Godycka
Korekta: Urszula Gołębiewska

© 2013 by Harlequin Books S.A.
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Gorący Romans są zastrzeżone.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-1099-7

GR - 1063

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com